

odgłosy

WYDANIE
ŁÓDZKI
ROK III
Łódź 6. XI.
1960 r.
Nr 44 (140)
Cena 1 zł

ZYGMUNT GROSBART ROMANOWSKI

W OJCZYŹNIE ZIELONEJ PAŁECZKI

„Główny sekret polegał na tym, jak zrobić, aby wszyscy ludzie nie znali żadnych nieszczęść, nigdy nie wadzili się, a byli zawsze szczęśliwi, ten sekret był (...) napisany (...) na zielonej pałeczce i pałeczka ta zakopana przy drodze...”

Lew Tolstoj „Wspomnienia”

PODRÓŻ

Mknijemy piękną szeroką autostradą. Dzień niewymownie słoneczny, złotisto-lazurowy. Przelatują drewniane domki — czasem brunatne ze starości, lecz częściej — nowiutkie, białe — błękitne; jaśnieją na nich charakterystyczne rzeźby — ozdoby, podobne do papierowych wycinanek... Po godzinie jazdy od Moskwy przybywamy do Tobolska. Wielkomięskie bloki, na dachach — gęstsze masztów telewizyjnych. W jednym z górnych okien przebiła kobieta w czerwonej podmie schyloną nad doniczkami kwiatów...

I znowu — domki, domki, na każdym — antena w kształcie dużego „T”, czasem — dwie...

Po czterech godzinach

przejeżdżamy granicę obwodu tulskiego. Pod trzęsącym drewnianym mostem — modre migotanie rzeki, parasole z dykty jak kolorowe kwiaty, wyrastają z białawego złota plaż. Potem — zielony sad, staruszek w siomkowym kapeluszu krząta się kolo drzew, Infana koszuła, przepasana sznurem z frędzlami, luźno opada na ciemne spodnie... Wionął niedoszły szepc dawności...

Jeszcze pół godziny — i mijamy tablicę z napisem: TULA. Mignęła jeszcze kopiała na kształt starodawnego helmu i autokar zatrzymuje się przed dwoma białymi filarami. Który wiek jest za nimi?... Dziewiętnasty?... Nie — tam czas, nie poddający się rachubie.

Tam jest nieśmiertelność, Tam — Jasna Polana.

— Stary Tolstoj, gdy już nie mógł dać swiata ani „Wojny i pokoju”, ani „Anny Kareniny” ani „Smierci Iwana Iljicza”, zamiast tych arcydzieł dał czyn na miarę dwunastoletniego chłopca: uciekł z domu.

Stary człowiek uśmiechnął się. (...) Pisarze zbyt

(Dalszy ciąg na str. 3)



Ojczyzna Tolstoja, ziemia, która wydała wielu wybitnych ludzi nauki i sztuki, kraj wielkich pokojowych przeobrażeń. Wraz z nią cała postępowo ludzkość obchodzi w bieżącym roku 43 rocznicę Rewolucji Październikowej

HENRYK ANDERS

ZACZEŁO SIĘ W ŁODZI...

Jak już donosiła prasa codzienna, w dniach 21 i 22 października, w gmachu Muzeum Sztuki w Łodzi, odbyła się sesja naukowa Stowarzyszenia Historyków Sztuki, poświęcona problematyce sztuki XX wieku.

W pierwszej chwili wybór miejsca zjazdu może budzić dziwienie. Dlaczego właśnie w Łodzi? Jakimiż to powabami zdołało nasze miasto skusić historyków sztuki i estetyków? Zabytkami? Zbiorami? Tradycją artystyczną?

Otóż to. W latach trzydziestych okresu międzywojennego — oraz tuż po wyzwoleniu była Łódź głównym w Polsce ośrodkiem awangardy plastycznej. Na dowód warto zacytować słowa Tadeusza Dobrowolskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w książce „Sztuka współczesna” tak pisze o nowoczesnych kierunkach artystycznych w Polsce:

„W okresie międzywojennym... pewne znaczenie miała „Grupa Krakowska”, a także zespół malarzy łwowskich „Artes” — i warszawskich, jednakże na czoło wysuwało się środowisko łódzkie z Władysławem Strzemińskim i Katarzyną Kobro-Strzemińską...”

I oto zjazdu powód drugi. Rarytas naszego Muzeum,

międzynarodowa kolekcja sztuki nowoczesnej, słynie szeroko w całym świecie kulturalnym. Jest to nie tylko jedyna tego rodzaju kolekcja w Polsce, jest ona w tej chwili najstarszą na świecie, powstała w roku 1931. Zbiory hanowerskie — chronologicznie o sześć lat wcześniejsze — zniszczyli bowiem hitlerowscy barbarzyńcy.

Warto było posłuchać słów zachwytu i zazdrości, jakiej nie kryli polscy muzeolodzy zwiedzając sale przy ulicy Więckowskiego. Przed wojną żadne z muzeów polskich nie reflektowało na taki zespół dzieł, dzisiaj każde by chciało go posiadać. Ale przynajmniej zgodzić, że w Łodzi jest dlań miejsce najbardziej właściwe i ze względu na historię i z uwagi na potrzeby środowiska.

Zwłaszcza dla studentów PWSSP, — uczelni specjalizującej się w nowoczesnym „zornictwie przemysłowym” — kolekcja stanowi prawdziwe „laboratorium formy artystycznej”.

Podczas sesji oglądano oczywiście nie tylko sztukę awangardy i nie tylko jej problemy omawiano. Referat wprowadzający prof. dr Mieczysława Wallisa dotyczył „secesji”, a więc sztuki z przelomu obu wieków. Referent przeciwstawił się powszechnie panującej opi-

ni historyków i krytyków, opinii potępiającej dziwactwa secesji, starał się wykazać, że prąd ten położył podwaliny pod cały późniejszy rozwój sztuki.

Prof. dr Juliusz Starzyński omawiał główne kierunki artystyczne w latach dwudziestych. Doc. dr Jan Białostocki mówił o grafice użytkowej okresu międzywojennego. Jest to problem niedostatecznie jeszcze opracowany, a przecież grafika użytkowa polska — plakat, ilustracja książkowa, projekty znaczków pocztowych itp. — wzniosła się na poziom najwyższy w skali światowej.

Doc. dr Marian Minich opowiedział z humorem burzliwe dzieje łódzkiego Muzeum Sztuki.

Mgr Janina Lazarowa scharakteryzowała początki polskiej awangardy plastycznej i jej związki z francuskim kubizmem. Mgr Piotr Krakowski przedstawił rozwój malarstwa w Polsce w ostatnim już powojennym okresie. Niżej podpisany nakreślił sylwetkę Władysława Strzemińskiego, najbardziej wybitniejszego z polskich twórców awangardowych.

Dwa referaty poświęcone zostały sprawom teorii sztuki oraz jej odbioru przez społeczeństwo. Mgr Maria Rubczyńska omówiła ocenę sztuki

a strakejnej przez klasyków marksizmu, a profesor dr Józef Dutkiewicz w swoim referacie poświęconym zagadnieniu społecznej funkcji sztuki nowoczesnej wywołał najwięcej kontrowersji. Prezentował dowody, że sztuka współczesna przynosi wiele korzyści, jeśli chodzi o jej związki z architekturą i przemysłem artystycznym, jeśli chodzi o kształtowanie oblicza dzisiejszego świata. Kwestionował jednakże wartości poznawcze współczesnego dzieła sztuki — obrazu czy rzeźby — podkreślał przebijający z dzieł plastyki niepokój i pesymizm, pokrewne duchowo filozofii egzystencjalizmu...

Ocenie tej przeciwstawił się znakomity filozof i estetyk prof. dr Roman Ingarden, który wskazał, że związki sztuki z egzystencjalizmem są tylko pozorne, że zresztą awangarda plastyczna jest o wiele starsza niż ów prąd filozoficzny. Prof. Ingarden zalecił więc wielką ostrożność w formułowaniu sądów ostatecznych o sztuce, która ciągle się jeszcze rozwija.

Na szerszą dyskusję nie starczyło, niestety, czasu. Sesja uwidoczniła jednak dobitnie to, co rysowało się dotąd w zamglonych konturach. Po pierwsze, że obszerne dziedziny bogatej i bujnej twórczości polskiej w dwudziestym wieku nie są jeszcze należycie należycie poznane. Po drugie, że społecznej użyteczności sztuki nowoczesnej nie znamy dostatecznie, że wymaga to badań, badań i jeszcze raz badań...



Gabinet pisarza



LONGIN PASTUSIAK



Poszczególni agenci dostrzegają do przechodniów, prywatnych samochodów, a nawet telefonicznie zachęcają do głosowania na danego kandydata.

Mimo że już niewiele czasu pozostało do 7 listopada, kiedy to rozstrzygnie się pojedynek Nixon-Kennedy, nikt nie jest pewny wyniku. Prasa, instytucje

badania opinii publicznej tudzież rozmaici prywatni spece od znajomości spraw wyborczych wylają wprost ze skóry, aby móc z całą pewnością postawić na jednego z dwóch kandydatów.

Pewien sprytny sprzedawca platków kukurydzianych w stanie Tennessee zrobił nawet na tym niezły interes. Pomysłowy geszefciacz pakował płatki do pudełek z podobizną obu pretendentów do Białego Domu a następnie wysyłał do sklepów. W zależności od tego, czy panie domu wy-

bięrały opakowanie z podobizną Kennedy'ego czy Nixonona, rozstrzygnięto wyniki wyborów w stanie Tennessee na korzyść kandydata partii demokratycznej.

Obaj kandydaci prowadzą bardzo zacięty pojedynek. Dynamizm walki wynika m. in. z tego, że żaden z nich nie jest pewny zwycięstwa. „Neck-to-neck” lew w lew idą obaj kandydaci według relacji prasy amerykańskiej. Oto wyniki ankiety Gallupa przeprowadzonej wg poszczególnych regionów USA:

| | Wschód | Środk. | Zach. | Dał. Zach. | Południe |
|-------------------|--------|--------|-------|------------|----------|
| Nixon—Lodge | 47% | 48 | 48 | 45 | 46 |
| Kennedy—Johnson | 48% | 47 | 47 | 50 | 46 |
| nierozstrzygnięci | 5 | 5 | 5 | 5 | 8 |

(Dalszy ciąg na str. 2)

KENNEDY czy NIXON? czyli „neck-to-neck”

(Dalszy ciąg ze str. 1)

dlugo pracują w jednym materiale, aby się nie buntować, aby nie chcieć „wyskoczyć z siebie”, „wskoczyć w czyn”. Ten „czyn dwunastoletniego chłopca” — to sen poetów. „Uciec z Jasnej Polany” o tym marzy właściwie każdy twórca.

Adolf Rudnicki. „Ucieczka z Jasnej Polany”.

Kto nie zna tego imienia, imienia-symbolu... Wy-cisnęło swe piętno na kulturze i sztuce całej ludzkości. Jasna Polana — kolebka i mogiła jednego z największych ludzi, jakich zrodziła Ziemia. Tu przeżył prawie sześćdziesiąt lat, tu napisał najwspanialsze ze swych dzieł.

Wybitny pisarz radziecki, Jurij Libiedinśki, przytoczył w swym pamiętniku rozmowę z rosyjskim pułkownikiem, który w październiku 1941 roku przejeżdżał koło Jasnej Polany. Oficer mówił o rozpacz, jaka go ogarnęła na myśl o tym, że do domu Tolstoja wejdą hitlerowcy. — Przyszedł mi do głowy absurdalny plan — zwierzał się — zebrać wszystkich swych ludzi, bronić Jasnej Polany i tu zginąć... To był oczywiście nonsens... Człowiek Guderiana, kilkaset wozów pancernych wspomaganych przez lotnictwo, nadciągały z Orla...

Libiedinśkiemu udało się zajechać do dawnego majątku Tolstoja dopiero po dwóch latach. Przy mogile wielkiego pisarza ukłękł, ucałował wezwłowie grobu i wziął z niego szczyptę ziemi...

PARK

„Gorący wiatr nocą kołysze młode liście na drzewach, i światło księżycowe, i cienie, słowiki niżej, wyżej, dalej, bliżej, od razu i synkopami, i w dali żaby, i cisza, i wonne gorące powietrze — i wszystko to nagłe, nie w porę, bardzo dziwnie i ładnie. Z rana znów gra światła i cieni od wielkich gestów ubranych brzoza — prespektiva do wysokiej już, ciemnozielonej trawie, i niezapominajki, i gluche pokrzywy...”

L. Tolstoj „Z listu do żony” (r. 1897).

Idziemy po prastarych alejach lipowych pomietających odgłos kroków Lwa Tolstoja... Ogromne drzewa nierazkado dotykają się pniakami tworząc całkowitą ścianę.

Rozkwitają tu wiosną roje pachnących kwiatów, a wieczorami wywodzą swe trele słowiki, śpiew których tak zachwycał wielkiego pisarza... Dalej rosną jabłonie, orzechy, potem bieleje brzezinka prowadząca do brzozy stawów. Każdy z nich — to cząstka historii.

Oto „Staw Średni”. Z tego brzegu rzuciła się do wody żona Tolstoja Sofia Andriejewna, dowiedziawszy się o jego odejściu na zawzięcie z Jasnej Polany... Potem staw „Dolny”, zwany jeszcze „Kocim” — niegdyś u-

lub'one miejsce odpoczynku matki pisarza. Zmarła wczesnie, kiedy najmłodsze z jej dzieci miało zaledwie półtora roku. To był chłopczyk, nazywał się Lew. „Lubię to miejsce — mówił Tolstoj słynnemu pianiście Goldenweizerowi. — Widzi pan — pan kochał swoją matkę, a ja nie pamiętam swej matki”. Siadywała nad „Dolnym” w altance na palach którą pieczołowicie zrekonstruował jej syn. W tej postaci altanka zachowała się do dziś.

Trzeci staw „Duży”, został opisany w jednym z rozdziałów „Wojny i pokoju”. Przejść do niego można „Preszpelom”, (tak nazwano w rodzinie Tolstoja aleję świerkową, prowadzącą od bramy wjazdowej do samego domu). A sam „Preszpel” jest częstym gościem w utworach, listach i pamiętnikach Lwa Mikołajewicza; szczególnie ważne miejsce zajmuje w znakomitej scenie przyjazdu księcia Wasyla do majątku starego Wokońskiego w „Wojnie i pokoju”.

Przechodzimy koło cieplarni. — Pawilon ten — objaśnia nam przewodnik — Tolstoj zbudował na miejscu poprzedniego, który spłonął w 1887 roku. Podczas pożaru pisarz wyniósł z ognia dzieci ogrodnika...

Dziwne, napawające szacunkiem jest to posmierne obcowanie z wielkim człowiekiem... Każde drzewo, każdy zakątek przemawia do nas przede wszystkim swoim podtekstem, jak to bywa w dziełach prawdziwej sztuki. Głęboka zaduma ogarnia wśród wyniosłych lip; u stóp ich bieleje jeden-jedyny pozostały z fundamentu kamień z napisem:

„Tu stał dom, w którym urodził się Lew Tolstoj”.

Tego domu nie ma już od przeszło stu lat. Ale zachował się drugi nierozzerwalnie związany z życiem i twórczością pisarza, który mieszkał w nim od r. 1856 do roku swej śmierci. Nazywa się dziś Domem-Muzeum Lwa Tolstoja. W milczeniu przekraczamy jego prog...

DOM

Już w przedpokoju widzimy brzozywe złote szafy pełne książek we wielu językach i jak najróżniejszych treści. W jednej są podkreślenia i uwagi zrobione ręką samego Tolstoja owe marginalia mają na pewno dużo większą wartość niż wiele z tekstów, do których się odnoszą. Książki powitały nas i będą nam teraz towarzyszyć na każdym kroku. Między innymi, są tu utwory napisane po japońsku, po hebrajsku i po grecku. „Cały żyję w Atenach. Nocami we śnie mówię po grecku”, — pisał Tolstoj Fietow w roku 1871, gdy był pod urokiem „Iliady”. Znal doskonale francuski, angielski i niemiecki, prócz tego w ciągu swego długiego życia studiował wiele języków, zarówno żywych jak i martwych: polski, czeski, bułgarski, tatarski, włoski, arabski, holenderski, łaciń-



Ilustracja K. I. Rudakowa do powieści L. Tolstoja „Anna Karenina” (1940 r.)

W OJCZYŹNIE ZIEŁONEJ PAŁECZKI

ski, starogrecki i hebrajski. Obok szaf z książkami koło pieca, stoj sprząty myśliwskiej pisarza. Mimo woli przychodzi na myśl nieprześcignione opisy polowania w dziełach Lwa Mikołajewicza, szczególnie słynna scena z „Wojny i pokoju”, którą tak zachwycał się Lenin...

Idziemy na górę. W sienicach pierwszego piętra podziwiamy stary XVIII-wieczny zegar w mahoniowym futerałku o kształcie wieżyczki. Zegar ten kupił jeszcze dziad pisarza, M. S. Wołkoński. Wpatruję się uważnie — przecież ten czasomierz idzie! I wskazuje nie tylko godziny, minuty, sekundy, ale i daty.

Na prawo — sala. Tak za życia Tolstoja nazwano największy w domu pokój. Tu rozbrzmiewały głosy znakomitych pisarzy i poetów — Turgieniewa, Leskowa, Foeta, Czechowa, Korolenki, Gorkiego, słynnego Stasowa; malarzy tej miary, co Kramskoj, Riepina, Gai, Nesterow; wybitnego uczonego Miecznikowa, kompozytorów Taniejewa i Arleńskiego, wielkiej polskiej klawesynistki Wandy Landowskiej i wielu wielu innych — artystów, uczonych, działaczy społecznych i politycznych robotników, chłopów, studentów...

Wokół mahoniowego stołu sadowiła się rodzina i przyjaciele prowadząc długie wieczerne rozmowy. Zdaje mi się, że widzę czerwone świa-

w domu Tolstoja, warto wspomnieć wiszącą w gabinecie pisarza fotografię Joachima Lelewela. Ten wizerunek wraz z portretami Strachowa, Foeta, Niekrasowa, najbliższych członków rodziny przeniesiono tu na prośbę Tolstoja 14 października 1905 roku. — „To są moi prawdziwi przyjaciele” — powiedział wtedy do żony.

Pokój gościnny... Tu przez długie lata mieszkała ukochana „cioteczka”, Tatjana Jergolska, która całe swe życie poświęciła wychowaniu Lwa Tolstoja, jego braci i siostry. Uwiecznił ją pisarz w obrazie Soni z „Wojny i pokoju”, była także prototypem ciotki Niechłodowa w „Romansie ziemianina rosyjskiego” i w „Poranku ziemianina”.

Od roku 1874, kiedy zmarła T. Jergolska, pokój ten wiąże się głównie z życiem żony pisarza, Sofii. W kącie koło okna było jej stałe miejsce, gdzie przepisywała utwory swego męża. Przez 48 lat Sofia Andriejewna była bezpośrednio i najbliższą pomocniczą w jego ogromnej pracy twórczej.

Ściany pokoju pokryte są licznymi portretami członków rodziny, przyjaciół, pejzażami Jasnej Polany. Tu właśnie wisi autoryzowana kopia znanego obrazu Riepina przedstawiającego Tolstoja w jego jasnopolańskim gabinecie — w „pokoju pod sklepianiami”. Doskonale charakterystykę tego portretu dał Włodzimierz Stasow. „Cała natura, całe życie twórcze wielkiego pisarza — pisał 26 czerwca 1891 roku, — wyrażona została, jak mi się zdaje, ognistymi rysami w tym niewielkim obrazku. Oczy opuszczone, ale niby widzieć, jakim głębokim spojrzeniem patrzy spod gęstych, ściągniętych brwi na to, co pisze potężna, twarda ręka na leżącym przed nią papierze. Siód, na którym pisze Tolstoj, podsunęty jest do samego okna, skąd pada jaskrawe światło na pokój. W jednym kącie pokoju stoi duża łopata oparta o ścianę; niedaleko — kosa postawiona drzewcem na dół, piła, przywieszona do pułapu; przy drzwiach na podłodze, nieduża siekiera, na tylnej ścianie wisi na gwoździkach różna odzież i kapelusz z szerokim rondem. Portret ten jest prawdziwym obrazem; dla mnie jest to niekiedy many obraz historyczny, który będzie napawał radością i podziwem wszystkich przyszłych naszych potomków”.

Oglądając później „pokój pod sklepianiami” mogłem odcenić trafność opisu Stasowa. Osobiście dla mnie niewidzialna obecność Tolstoja była szczególnie wyczuwalną — zaryzykuje powiedzenie: szczególnie namacalną — właśnie w tym pokoju. Lecz miast tego, by kusić się o naszkicowanie go własnymi słowami, pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden cytat, tym razem z artykułu rzeźbiarza Ilii Gincburga pt. „Jak pracowałem w Jasnej Polanie”:

„Starodawny loch przypomniał średniowieczną celę klasztorną. Sklepienia powala, żelazne kraty w oknach starożytne meble, nieręcznie pod sufitem, kosa, piła, — wszystko to miało jakiś tajemniczy wygląd. Sam Lew Mikołajewicz w białej bluzie, siedzi, podwinąwszy nogę, na niskiej skrzynce, pokrytej dywanikiem, podobny do jakiegoś baśniowego czarodzieja”.

„Wyjazd mój zmartwił mnie. Ubolewam nad tym, ale zrozum i wierz mi, że nie mogłem postąpić inaczej. Sytuacja moja w domu staje się, stała się nie do zniesienia: Prócz wszystkiego innego, nie mogę żyć w tych warunkach przemocy, w jakich żyłem, i czynię to, co zwykle robią starcy w moim wieku — odchodzę od życia świeckiego, by żyć w samotności i ciszy ostatnich dni swego życia...”

Z pożegnalnego listu

Lwa Tolstoja napisanego — na imię żony przed odejściem z Jasnej Polany — nocą, 8 października 1910 roku w gabinecie.

Gabinet pisarza. Wydaje się że Wielki Rosjanin tylko co opuścił ten pokój, w którym spędził ostatnie chwile przed odejściem z Jasnej Polany.

Wiele z rzeczy, które tu widzimy, towarzyszyło pisarzowi przez całe niemal życie. Oto stare biurko, przy którym zawsze pracował. Gdy przenoszono gabinet do innych pokoi, wędrowało tam zawsze owo biurko i znajdująca się tu kanapa. Na nim leży bryła zielonego szkła; czytamy wycięte na lśniacej tafli litery — przysłał je Tolstojowi robotnicy i pracownicy umyślnie jednej z hut szklanych na znak głębokiego szacunku, aprobaty i poparcia. Było to w roku 1901, w związku z ekskomuniką nałożoną na pisarza przez kościół prawosławny. W ogóle darów jest dużo od najróżniejszych ludzi i najróżniejszych. Między nimi fonograf — dar wielkiego wynalazcy Tomasa Edisona, a obok po mistrzowsku wyrzeźbiony z drzewa dzbany z łańcuchem dedykacji; nie można odczytać, gdyż napisana jest po tatarsku.

Na okrągłym stole leży książka Dostojewskiego „Bracia Karamazow” — czytał ją Tolstoj na parę godzin przed odejściem. Na biurku stoją świece, które wtedy własną ręką zgasił. Od tej chwili nikt nigdy już ich nie zapalał...

Tu, w tym domu, bardziej jeszcze chyba niż w parku, wszystko oddycha swoim tajemnym życiem, każdy przedmiot, każdy zakątek kształtował cząstkę twórczości wielkiego pisarza.

Wychodzimy tą samą drogą. Panuje głębokie milczenie. Potem zaczynają się rozmowy, przewodnik odpowiada na pytania. W pewnej chwili zatrzymuje się — To jest droga do grobu Tolstoja — mówi nagle. — Tu nie dają nigdy żadnych wyjaśnień...

... Dookoła cisza, tylko pieczętliwie szumią ogromne lipy, okrzykują się ptaki i przez listowie nieśmiało przezierają promienie słońca. Na mogile nie ma ani nagrobka, ani napisu, ani żadnych ozdób — tylko świeże kwiaty przytuliły do niej białe i czerwone główki. Tu, koło urwiska, na tym miejscu, gdzie w dzieciństwie szukał „Zielonej pałeczki” — sekretu powszechnego szczęścia — leży Wielki Rosjanin, sam na sam z ojczyzną przyrodą, która tak kochał i którą tak genialnie opisał...

MEMENTO

Radziecki pułkownik, który tego spotkał pisarz Libiedinśki, z rozpaczą i nienawiścią mówił o zbliżających się do Jasnej Polany czołgach Guderiana. Przed paru laty czytałem książkę tego hitlerowskiego generała pt. „Wspomnienia żołnierza”. W jednym z rozdziałów Guderian pisze o pobycie wojsk niemieckich w Jasnej Polanie podkreślając, że stosunek ich do pamiętek Tolstojowskich był pełen szacunku i czci... Niestety, pokazano nam zrobione w roku 1941 zdjęcie obrazujące niewiarygodne spustoszenia w domu Tolstoja. W ostatnim dniu swego panowania w Jasnej Polanie faszysty usiłowali zniszczyć Dom-muzeum podpalwszy trzy pokoje pierwszego piętra. Tylko potężna i błyskawiczna ofensywa armii radzieckiej uratowała dom wielkiego pisarza od zupełnego zniszczenia.

Tak wyglądał w rzeczywistości „szacunek” hitlerowców do pomnika kultury będącego dumą całej ludzkości. Czy nie warto przypomnieć o tym teraz, gdy elity generała Guderiana znów manifestują swoją gotowość do „obrony kultury i cywilizacji”?

ZYGMUNT GROSBART
ROMANOWSKI



Jasna Polana — dom w którym pisarz spędził 50 lat życia — obecnie muzeum.

REPORTAŻ O NIEWIDZIALNYM bohaterze



PROMETEUSZ (wchodząc do przedludnionej jaskini): Coś tu u was wentylacja szwankuje. Siekierę można by powiesić.
CHÓR STAROŻYTNYCH GREKÓW: Kiedy mamy tylko kamienną...
PROMETEUSZ: I kamienną można by powiesić! (tekst na odpowiedzialność teatru „Eterek”).



Rzecz nie dotyczy duchów, zjaw, fatamorgany, czy innych fantomów. Niewidzialny bohater naszego reportażu nazywa się: **Powietrze**. To, którym oddychamy, które nas ziębi lub grzeje, sygnalizuje nam odczuwanie smrodu „wizewski smrodek”.

Przed rozpoczęciem lektury radzimy ci, czytelniku, odetchnąć trzy razy „pełną pierśią”. Powietrze to prze-

cież zasadniczy pokarm — biorąc „na wagę” przechodzi go przez twój organizm 10 razy więcej niż pożywienia.

Jeżeli więc wykonałeś już zalecone przez nas ćwiczenia, odetchnąwszy sobie po raz ostatni w błogie nieświadomości i nie odczuwając jeszcze żadnych obaw, możemy udać się tropem naszego niewidzialnego bohatera.

ROZDZIAŁ I — ATMOSFERA

Na początku był chaos, po tem ukształtowała się nasza planeta, a kiedy ostygła, okazała się pełna gór i dolin. Wśród nich pojawiła się także tw. wyżyna Łódzka, stawiąca wododział Wisły i Odry. Klimat miała doskonały, suchy, więc flora najróżniejsza i zwierza wszelaki ple-

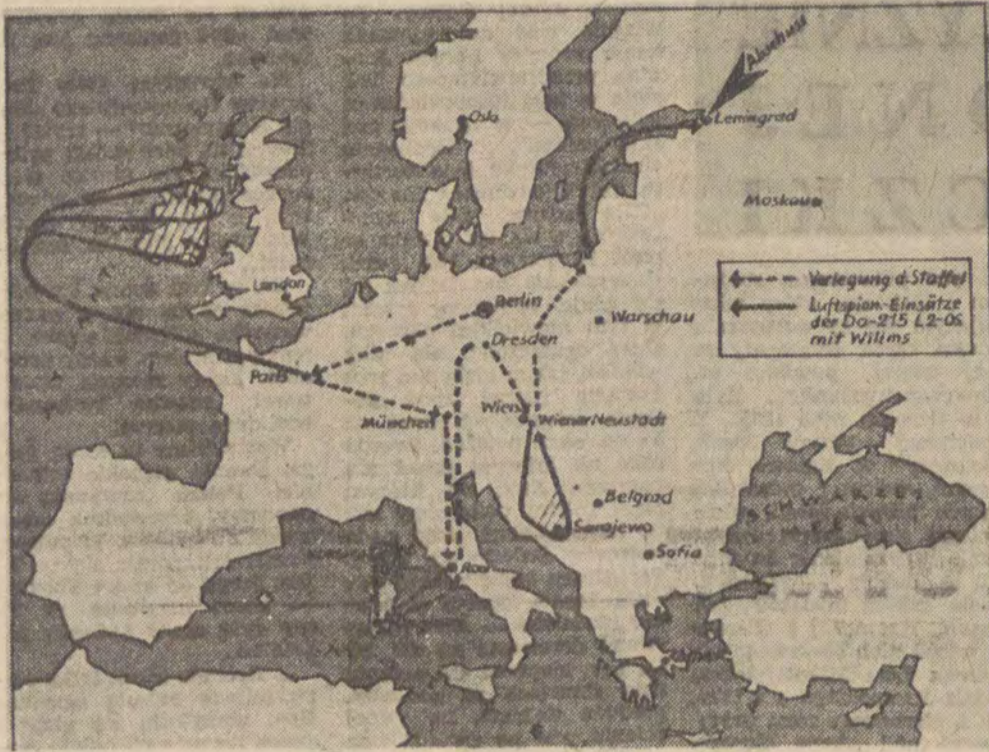
nęty się tu bujnie, hasając swawolnie wśród puszczy. Potem stopniowo puszczających drzewek poczęło ubywać a w ich miejsce jęły się pojawiać kominy.

Łódź dnia dzisiejszego pożera w swoich paleniskach przemysłowych i mieszkaniowych „skromny” jeden milion 883 tysiące ton węgla i koksu w ciągu roku. Dym snuje się w powietrzu i opada na ziemię a wraz z nim rok w rok ponad 90 tysięcy ton wszelkich pyłów, co daje 517 ton na 1 km².

Jak można oddychać taką „siekiera”? — spytaście. Można. Podobno w najbardziej zepsudzonym mieście Ameryki — Pittsburghu, leci sobie z nieba 2 razy tyle „koksiku”, bo ponad 1000 ton na kilometr kwadratowy w ciągu roku. Zresztą nie jest tak źle, dystansuje nas nawet rodzimy Śląsk.

Łódź natomiast „góręje” pod względem atmosferycznym. Wiatr, porywający ze sobą pyły, wieje tu głównie z zachodu. Nie danym mu jest ulecieć zbyt daleko.

(Dokończenie na str. 7)



Trasa lotów Willmsa

Człowiek — najjaśniejszy królik — Ostatni lot Willmsa Rowehla z dystynkcjami USA.

W wytwornym hotelu „Massimo d'Alzeglio” oberleutnant Marquardt dzieli się z kolegami tajemnicą zalakowanej koperty:

— Robimy pocztówkę. Korzyka z lotu ptaka.

Diedrich Willms komentuje rozkaz:

— Albo nasz Führer szuka odszkodowań na Gibraltar, albo Rosenberg zbiera materiał do książki o dzieciństwie Napoleona.

Korsyka należy do nieokupowanej Francji. Wprawdzie rząd francuski jest życzliwie nastawiony do III Rzeszy, ale posiada lotnictwo, które może figla spłatać fotografom powietrznym.

— Musimy, panowie, utrzymać wysokość przynajmniej 8 tysięcy metrów — przekazuje w dalszym ciągu Marquardt rozkazy rzymskiego attaché lotniczego, generała von Pöhla.

Tymczasem w katowniach obozów koncentracyjnych kwiat medycyny nazistowskiej przeprowadza doświadczenia nad wytrzymałością organizmu człowieka na ciśnienie powietrza i przebywanie w zimnej wodzie.

Dr Sigmund Rascher pisze z Dachau list do Himmlera:

„Chwilowa przewaga myśliwskiego lotnictwa bryty-

skiego w osłanianiu wyższego pułapu zmusza nas do przeprowadzenia eksperymentów nad materiałem ludzkim. Doświadczenia przeprowadzane z małpami nie mogą oczywiście zastąpić ludzi, dlatego też bardzo chętnie dostarczę więźniów”.

Pan Stabardt Rascher zamyka wiec häftlingów w komorach, zmniejszając stopniowo dopływ powietrza i wytwarzając klimat panujący na wysokości 8 tys., 10 tys. i 15 tys. metrów. Ofiary prób fotografuje się dokładnie w każdej pozycji walki ze śmiercią. Równocześnie przeprowadza się próby nad wytrzymałością człowieka na długotrwałe zanurzenie (po uprzednim zdjęciu kombinizonów lotniczych) w wodzie o temperaturze od 2,5 do 12 stopni. Ofiarom mierzy się temperaturę żołądka i kiszek, ciśnienie krwi i do pół litra krwi w czasie.

W późniejszych listach dr Rascher donosi: szefowi SS, że przeprowadza również swoje naukowe eksperymenty na więźniarkach z Ravensbrück. W Tempelhof powstaje Medyczny Instytut Doświadczalny Lotnictwa. Szef Instytutu, prof. dr Hippke, bada wytrzymałość Untermenschen nawet na wysokości 30 tys. metrów.

Klucz oberleutnanta Marquarda jest już nad Korsyką. Z wysokości 8 tys. metrów trudno odróżnić kolumny marszowe od wozów zaprzęgniętych w woly. Lecz oczy kamer filmowych widzą

wszystko. W ciągu półtoragodzinnego lotu dokonano zdjęć powierzchni 4 tys. kilometrów kwadratowych, a cała powierzchnia wyspy wynosi dziewięć tysięcy.

W połowie marca plan Korsyki jest już gotów. Francuzi nie zauważyli, co się działo nad ich terytorium. Rozkazodawca z Oranienburga przenosi klucz Marquardt



ta do Wiednia. Samoloty zmieniają kolor na kanarkowy.

Cel — Jugosławia. W tym samym czasie inna eskadra przeprowadza to samo zadanie nad Grecją, również państwem neutralnym. Dzieje się to na dziesięć dni przed napadem na obydwie te kraje. Negatywy wędrują bezpośrednio do Göringa, który kwateruje w Semmeringu.

Kurierem jest Willms. Pewnego wieczoru młody porucznik spostrzegł, że pułkownik Fuchs, oficer łącznikowy grupy Rowehla błądzi jak krewa opuszczony wagon — kwatery Reichsmarschalla der Luftwaffe. Opasy wódz

Luftwaffe wylądował całą swą złość na Fuchsie za przymusowe lądowanie Do-215 w głębi terytorium radzieckiego. Dornier 215 z grupy zwiadowczej nie przewidział przeszkód atmosferycznych i zabrakło mu paliwa.

Loty nad ZSRR trwają już dość dawno, a od połowy 1940 roku specjalne eskadry Ju-86 startują z północnej Norwegii, Prus Wschodnich, południowej Polski i Bułgarii do zadań nad terytorium między Morzem Białym a Kaspijskim. Brak rozeznania meteorologicznego nad olbrzymim zasięgiem lotów doprowadza często do pokonywania przeciętnych wiatrów i wydłużenia trasy.

Dotychczas w ciągu ubiegłego roku już dwa samoloty ruszyły przymusowo lądować. Władze sowieckie przyjmowały początkowo z dobrą wiarą tłumaczenia lotników, że są załogą zabłąkanego samolotu meteorologicznego. Lecz jak długo da się utrzymać tę bajeczkę?

Willms z niepokojem myśli o lotach nad bezkresnymi obszarami ZSRR.

Zwłaszcza przeczuć spełniają się. 12 czerwca 1941 roku melduje się ze swym dowódcą eskadry w sztabie Luftwaffe I Zebrani oficerowie lotnictwa otrzymują rozkazy na dzień „X” — datę rozpoczęcia ataku na ZSRR. Dalszy ciąg odprawy jest optymistyczny. Związek Radziecki posiada tylko myśliwce typu „Rata”, które

sztabu — nasze Me-109 i Fockewulfy-109 opanują niebo, a reszty dokonają Sturkasy. W dziesięć dni później szpiedzy Rowehla są pod ochroną konwencji genewskiej. W przypadku zestrzelenia lub przymusowego lądowania są jeńcami wojennymi.

5 lipca przelatuje Willms wśród „białej nocy” nad Leningradem na wysokości 8 tys. m.

— Myśliwiec za nami — melduje obserwator.

— Nie tak źle — zbywa porucznik z ironią meldunek obserwatora.

— Idzie w górę. To nie „Rata”.

W słońcu ukazuje się „Jak” najnowszej konstrukcji. Pierwszy strzał radzieckiego myśliwca jest trafny.

— Wyskakiwać — pada rozkaz Willmsa.

Wszyscy czterej członkowie załogi są ranni od odłamków. Willms spada do Nowy.

W obozie jeńców spotyka Willms nazimajora Pragera.

W rok później piloci Rowehla wykonują swoje ostatnie zadanie szpiegowskie. Przygotowywany jest plan napadu na Szwecję. Piraci powietrzni dostarczają zdjęcie Sztokholmu, zakładów Boforsa, magazynów paliwa.

Przy końcu maja 1945 roku VII armia USA zdobywa w Górnej Bawarii cenne trofeum — 65 skrzyń archiwum dowództwa Luftwaffe. Niestety, zdjęcia terytorium Związku Radzieckiego sięgają zaledwie do Uralu i wiele z tych „obrazków” jest już przestarzałych. W miarę możliwości, wbrew oczywiście prawu międzynarodowemu, oficerowie wywiadu amerykańskiego wydobyczą z jeńców niemieckich informacje o położeniu koszar i nowowybudowanych obiektach przetrzymany na terenie ZSRR.

Militaryści amerykańscy przystępują do przygotowań do lotów wywiadowczych na modłę Rowehla, a w czasie wojny koreańskiej akcja jest już w pełni.

Uplłynęły lata. Pułkownik Wyatt, szef grupy wywiadowczej europejskiego sztabu lotniczego USA w Wiesbaden, pochłonięty jest kłopotami rodzinnymi. Christian, najstarsza latorośl, zamiast przygotowywać się do egzaminów uniwersyteckich, zabrnął po uszy w długach karcianych w spelunkach Florydy. A papa t.e. może nawet ruszyć się na kilka dni do Stanów gdyż jednostka jest w pogotowiu alarmowym.

Rozmyślenia rodzinne przerywa telefon. Dzwoni generał Cannons, szef wszystkich

eskadr amerykańskich od Norwegi aż do Turcji.

— Rozpoczynamy nowe zadanie — „Jajko Wielkanocne”. Szczegóły omówi z panem pułkownikiem Long. Nie jedno pragnę zwrócić uwagę — Chłopców, których pan wysłał do czerwonych, przed etawie należy po powrocie do awansu.

Pułkownik Long jest już w willi Wyatta.

— Słuchaj stary — mówi pułkownik z wywiadem — Rosjanie nie śpią i mają radar o'key, ale zdania naszych speców nie są zgodne. Mam okazję, żeby sprawdzić. Jutro flota sowiecka ma manewry na wysokości Litwy. Wyślemy naszego „Privateera” i sprawdzimy bezpośrednio nasze urządzenia radarowe i sowieckie.

Nazajutrz około południa „Privateer” kapitana Coleman jest gotowy do startu. Na lotnisku zjawia się niepostrzeżony zupełnie pułkownik Long i wręcza Colemanowi zalakowaną kopertę:

— Kopertę otworzy pan po przelocie nad niemieckim wybrzeżem.

Tymczasem państwo Wyatt radzą nad wybrnięciem sytuacji z długów honorowych.

— Gdyby te akcje United Aircraft można było sprzedać, ale coż — po likwidacji mostu nad Berlinem spadł na łeb. Tak mój wykierował mój szwagier rek. Nie lepiej było umieścić nasze oszczędności w przemyśle kosmetycznym? W ubiegłym roku United Aircraft wyprodukowały zaledwie 5 900 samolotów. Rynek jest nasycony. Linie lotnicze mają samolotów w bród.

O godz. 13.50 Coleman zrywa lak z koperty, odczytuje instrukcję. Po przełocie wybrzeża niemieckiego wyłączy całkowicie własną radiostację. Włączy się w podsłuch sowieckiego radia i obserwować działalność radarową marynarki sowieckiej przez przynajmniej dwie godziny. Rozkaz po przeczytaniu zniszczyć. Po wrót najkrótszą drogą.

W pół godziny później pułkownik Long rozmawia telefonicznie z Wyattem.

— Nasi boys łaskotają już czerwonych.

— A jak Rosjanie stracą nerwy i zestrzelą?

— Wyobraź pan sobie jaki hałas powstałby w Warszawie? Gwarantowana podwyżka budżetu na zbrojenia, która pociągnęłaby za sobą zatrudnienie, podwyżkę zarobków...

Cynizm Longa zlagodził w rozmowach Wyatta w zjawia haussy akcji United Aircraft.

c. d. n. (Według N.E.)

Inicjatywa „Odgłosów” włączająca dyskusję o rodzinie zasługuje jak najbardziej na czynne poparcie. Ważkie to zagadnienie, naprawdę podstawowe dla życia społecznego i gospodarczego, ale niestety dotąd w małym stopniu oświetlane i uświadamiane w sensie publicznym. Rzecz można bez przesady, iż warunki i potrzeby życia rodzinnego w wielu poczynaniach i planowaniu nawet urzędów socjalnych i kulturalnych lub ekonomicznych zgoła nie są uwzględniane.

Krótkowzroczne wydaje się przekonanie, że życie rodzinne jest jedynie prywatną sprawą obywateli, stąd też na różnych odcinkach, różnych rang odpowiedzialni ludzie o takim właśnie spojrzeniu, jeśli już uwzględniają potrzeby rodziny, to raczej wedle zasady — „jak materij staję...”. A że, jak wiadomo, tyle wszędzie jest potrzeb do uwzględnienia, jak się wydaje ważniejszych, „luksus” życia rodzinnego może oczekiwać swojej kolejki.

Przykładów uzasadniających powyższe stwierdzenia nie trzeba szukać daleko, spotyka się je na każdym kroku. Choćby uspołeczniony handel. Wiadomo, przeważnie zatrudnia kobiety, lecz czy kierownictwa przedsięwzięcia handlowych w ustalaniu czasu pracy i organizacji liczyły się z faktem, że zatrudniają matki i gospodynie domowe? Czy w dystrybucji towarów, w sieci punktów handlowych i w czasie funkcjonowania tych punktów liczą się zawsze z kłopotami pracujących klientek? Czy przemysł spożywczy w planowaniu i dostawach myśli o ułatwieniu życia pracującej kobiecie?

W Łodzi tego nie widać. Jażdżyński napisał: „Rodzina nie wymyślił sobie innego świata niż ten, w którym żyje” — to prawda, lecz do tego należy dodać: — i wbrew temu jak się ją „urządzą” tzn. jakimi warunkami obwaruje, sama nie może poradzić.

Każdy wie, że życie rodzinne to mała i społeczna wspólnota. Wspólna tu gospodarka, solidarność, więź uczuciowa, słowem — elementarny kolektyw społeczny kształtowany właśnie wspólną gospodarką, wzajemną pomocą, wzajemnym oddziaływaniem, wspólnym przeżywaniem spraw członków rodziny, przeżywaniem uroczystości i obrzędów rodzinnych.

Nasuwa się pytanie: jak w tym małym świecie ma się kształtować właściwa harmonia, gdy w wielu wypadkach dom icedziny przemienia się jedynie w dom noclegowy jego mieszkańców; gdy zmęczona pracą matka, lub ojciec nie mają sił dzielić się swymi troskami i radościami, gdy trudno prowadzić gospodarstwo domowe: gdy wreszcie nie można urządzić uroczystości rodzinnej?

Rodzina wówczas traci swą moc, przestaje wypełniać swoje funkcje społeczne. Najjaskrawiej ten stan rzeczy ujawnia się w utracie wpływu rodziców na postępowanie dzieci. Wtedy właśnie zwykliśmy rozdzierać szaty i krzyżeć: „Kryzys rodzinny!” Określenie „kryzys rodzinny” w pewnych okolicznościach jest chętnie powtarzane jako zjawisko z kategorii „vis maior”, które niejako tłumaczy bezradność tych, którym to potrzebne.

Zresztą samo określenie „kryzys rodzinny” wydaje mi się fałszywie ukute, sugeruje ono bowiem jakiś patologiczny proces tocący ludzi niezależnie od warunków życiowych. Tymczasem rzecz ma się inaczej.

Jak można mówić o kryzysie rodzinnym skoro — wyjąwszy pewną liczbę patologicznych przypadków —

ludzie się garną do życia rodzinnego, zabiegają o mieszkania i urządzenie się, płodzą dzieci (prawda, że często bez pamięci) i kochają je. Przecież spada znacznie liczba nieślubnych dzieci, a porzucanie dzieci stało się rzadkością. Liczba rozwodów z roku na rok maleje (na 100 mieszkańców w Polsce 1949 — 0,75; 1956 — 0,60; 1957 — 0,58) i jest dużo niższa niż w innych krajach (na 1000 mieszkańców w roku 1957: Australia — 0,65 Czechosłowacja — 1,07; NRD — 1,33; NRF — 0,81; USA — 2,22).

To co się wydaje być objawem kryzysu rodzinnego jest objawem niewypełnienia jej niektórych społecznych funkcji.

ALE JEST SLEPOTA SPOŁECZNA

Powie ktoś czytając te słowa: dobre sobie zmieniać warunki życia tzn. pobudować domy, dać wszystkim centralne ogrzewanie, wędziaki, pralki, lodówki i będzie dobrze.

Wcale tak nie myślę. Chcę być daleki od wszelkiej demagogii. Mam pełną świadomość trudności gospodarczych, politycznych i ciężarów jakie musi dźwigać nasze społeczeństwo.

Więc myślę o życiu naszych rodzin w konkretnej rzeczywistości, w niełatwych warunkach, lecz z wykluczeniem

nym, jako źródło sił społecznych narodu, jako jednostka konsumpcyjna w ekonomice i jako komórka elementarnych wpływów wychowawczych. Faktu tego nie wolno pomijać w rozbudowie jakiegokolwiek ustroju społecznego a już szczególnie socjalistycznego.

Niech ktoś np. dokona cudu oszczędności ogólnonarodowej, tak koniecznej naszej gospodarce bez oszczędnej gospodarki rodzinnej? Spróbujcie lansować np. margarynę w miejsce masła albo smalcu w miejsce słoniny, bez ojca i matki. Albo — jaka siła mogłaby zabezpieczyć rozwój fizyczny i zdrowie młodego pokolenia bez świadomej i czynnej pod tym względem woli rodziny?

Zdaje sobie świetnie sprawę z roli rodziny Kościół usiłując uczynić z niej domową swych wpływów.

A my często nie dostrzegamy społecznego znaczenia rodziny.

Gdzie np. są działania wyrównujące potrzeby rodziny w naszych niedostatkach i trudności warunków bytowych? Czy nie stać na to, aby ciasnota mieszkaniowa była łagodzona tanim, łatwo dostępnym dla robotniczej rodziny, racjonalnie do tej ciasnoty dostosowanym urządzeniem mieszkań. Żółć się wylewa przy przeglądaniu składów mebli. Do jakich mieszkań pro-

Poruszył tę sprawę Jażdżyński, ilustrując statystykę przestępczości nieletnich perturbacją wychowawczą rodzin.

Zamierzam poszerzyć stanowisko Jażdżyńskiego wnioskami z własnych obserwacji.

Na wstępie ważne stwierdzenie: dane statystyczne ujawnionych i osądzonych przestępstw nieletnich oraz znacznie większe jeszcze liczby nieujawnionych przypadków w stosunkowo niewielkim procencie dotyczą nieletnich, o których można mówić „jakie drzewo, taki klin”.

Znacznie większy procent dzieci i młodzieży spaczonej wywodzi się z rodzin, w których matki i ojcowie są osobście bardzo porządnymi ludźmi, często wartościowymi, bywa, że i zasłużonymi działaczami.

Gdzie więc w tych wypadkach tkwi przyczyna wypaczeń? Czy w zaraźliwym wpływie zdemoralizowanych rówieśników? Owszem, takie wpływy działają, lecz przecież odporność na nie wynosi się z domu. Dom widać nie uodpornił, nie przekazał postawy życiowej rodziców. I tu właśnie zaznacza się brak dobrze rozwiniętego życia rodzinnego, co zresztą wcale nie jest jednoznaczne ze złym i niezgodnym życiem rodziców.

Analiza procesu kształtowania się osobowości człowieka wykazuje, że cechy konieczne do współżycia i współdziałania z ludźmi (e-



Z cyklu: podpatrzone sytuacje



HENRYK DINTER

PRZEDĘ WSZYSTKIM WYCHOWANIE

czaniem tych wszystkich czynników, które rozbijają życie rodzinne, przy jednoczesnym wprowadzeniu sprzyjających jego rozwojowi czynników.

Jak to się stać może? Podać receptę?

Nie recepty tu są przydatne, ale trzeba — i oto jest m. in. zadanie naszej publicystyki — ugruntować powszednie przekonanie że życie rodzinne nie jest prywatną sprawą tatusia, mamusi i dzieci, a sprawą ściśle związaną z interesem publicznym. To przekonanie musi mieć nie tylko każdy członek rodziny, ale i ten kto pisze prawa i rozporządzenia; kto prawa interpretuje; każdy kto cośkolwiek organizuje i czymś zarządza; kto planuje, ustanawia płace, kto obmyśla rozrywki i wypoczynek — każdy musi mieć przekonanie, że troszcząc się o życie rodzinne, uwzględniając i popierając je utrwała mocne podstawy społeczne.

Otóż rola i znaczenie rodziny jest faktem socjologicz-



lementarne zagadnienie socjalizmu) oraz konieczne do utzymywania równowagi moralnej z otoczeniem wytworzone są w długotrwałym praktycznym wdrażaniu i korygowaniu; proces ten musi się odbywać już od kołyski w nieprzeliczonych i najbardziej różnych sytuacjach — wśród śmiechu i łez.

I na to nie ma rady, stonki społeczne i kultura nasza wymagają żmudnego wprowadzania w to wszystko małego homo-sapiens. Homo-sapiens ma się przestoczyć w homo-socius — a to wymaga indywidualnego i bardzo wytrwałego „trenowania”. Instytucja publiczna, przedszkole lub szkoła, operująca gromadnym wychowaniem, musi już otrzymać osobniczka nauczyciela chodzenia po własnej orbicie, uzależnionej prawami wzajemnego oddziaływania innych i gromady.

Chyba nie. Slepota, karygodna często ślepota na potrzeby życia rodzinnego.

RATOWAĆ WYCHOWAWCZĄ FUNKCJĘ RODZINY

Spośród rozlicznych funkcji społecznych rodziny nas przede wszystkim interesować musi jej funkcja wychowawcza.

Jest to tak żywo funkcja z punktu widzenia interesów społecznych, że wszelkie symptomy świadczące o jej kryzysie muszą wywoływać głośne larum. W istocie od dawna już znajdujemy się w stanie alarmowym.

nauczy, nie mówiąc już o rozwoju mowy.

To matka, ojciec i domownicy jeszcze w kołysce uczą dziecko współżycia z sobą, szanowania praw innych itd. ganią lub chwali, wprowadzają w rytm życia społecznego, uczą porozumiewać się, słuchać, wno-



sić własne wartości, szczerą ambicję, godność, pobudzają aspiracje życiowe, uczą kochać i brzydzić się — radować i smucić się — wszystko to czynią prostymi, życiowymi środkami. Stale i bezwiednie snują więź uczuciową która — jeśli tak można powiedzieć — wypłata wspólnotę, solidarność i odpowiedzialność.

Więc rodzina jest ważnym, czynnikiem ogólnospołecznym i to wielorakiego znaczenia. Działa długo, jest motoryczną siłą aspiracji życiowych i siłą hamującą przed niegodnymi czynami. Ilekroć to siły potencjalnej tkwi w imperatywie wysnutym właśnie z więzi ro-

dzinnej — „nie splamić nazwiska”, albo — „zostawić dobre imię dzieciom”.

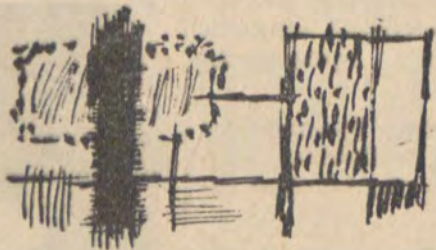
By wszystko, co tu powiedziane, mogło prawidłowo przebiegać, nie trzeba na to specjalnego wykształcenia. Konieczna jest jedynie zwykła ludzka moralność i normalny rytm rozwijającego się życia rodzinnego — a będzie się dokonywać zarówno tak w chatce chłopskiej jak i w mieszkaniu robotnika, jak również i w środowisku inteligentkim. Rytm życia rodzinnego wymaga jednak podstaw ekonomicznych pozwalających bez troski zaspakajać niezbędne potrzeby życiowe i trochę czasu na życie domowe — reszta sama przychodzi.

Otóż w tych licznych wypadkach, gdy nauczycielom ręce opadają z bezsily, gdy beznadziejna jest milicja, gdy nie pomagają sądy dla nieletnich — w tych wypadkach brakło owego rodzinnego rytmu, nie było możliwości przeistoczenia homo-sapiens w sociusa.

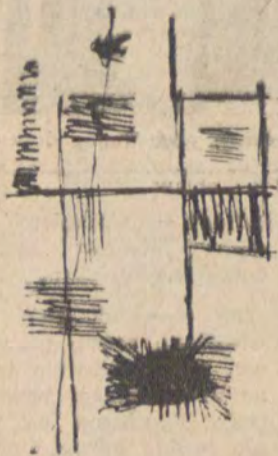
Ta zaś możliwość przeistoczenia związana jest z okresem dzieciństwa, później jest to już bardzo trudne, a często niemożliwe.

Nasuwa się prosty wniosek — który na wszystkie strony chciałoby się rozkrzyżać: — troszczmy się, dbajmy, róbmy wszystko, aby nasze rodziny mogły wychowywać nasze dzieci!

PROLOG



Jestem różny —
jestem szczodry —
jestem cały sprzeczny,
zły i dobry,
Lubię
He się rzeczy różnych we mnie miesza —
tu wschód
tu zawiść,
Wiem,
O, to wszystko ma ogromną wartość!
Jestem dla was niezbędny;
Pe brzgi zawałony
jak auto ciężarowe
sianem zielonym.
I mknę
przez światło,
i —
i —
Niechaj nam żyje
niech żyje chciwość,
Graniec mnie krępują...
bym nie znał miast Brzylili
Chciałbym się włóczyć
z wszystkimi mówić,
Na autobusie
chcę się przejechać
Sam jestem różny —
Nie pragnę życia spokojnego szukać,
niech sztuka mnie
jestem i tak
Ja
w najróżniejszym
Bliskimi są mi
i
i deformacje szorstkiego Gauguina.
Lubię
nad slosem kartek
lubię
i wrogiem
Smućę się,
wgrzynam się w księgi,
arbuz sierpniowy
mrozem chrząszczającym ścieka mi z warg.
Walę się w trawę,
bez dum o śmierci
i jeśli kiedyś umrę na tym świecie,
to chyba umrę ze szczęścia,
dostrzegam sam siebie.
Whitman
i Jesienin,
w groźnej łunie Mussorgskiego
i sceny
na łyżwach
płynąć w tłumie,
nocą trwać;
kobietę nieśo przez strumień
śmiać się
prosto w twar;
coś mi majaczy mgliście,
dźwigam drwa,
w szkarłatnych bryzgach
rozrzucając rękę,
śpiewam i piję —
że żyję.



Eugeniusz Jewtuszenko jest to chwila obecnej jednym z najpopularniejszych w ZSRR poetów młodego pokolenia. U nas pisano o nim mało. Tymczasem jest to poeta ciekawy, a twórczość jego — charakterystyczna i symptomatyczna dla poglądów dużej części młodzieży radzieckiej. Mówi o tym choćby fakt, że jego wiersze wybrane, które kilka miesięcy temu ukazały się w Moskwie, zostały natychmiast rozchwytywane. Jewtuszenko urodził się w r. 1933 na stacji Zima, okręgu Irkuckiego. W r. 1948 przeniósł się do Moskwy. Pierwsze jego utwory opublikowano w r. 1949. Poemat Jewtuszenki ostentacyjnie publicystyczny, który porwałam sobie zaproponować czytelnikom, pochodzi z roku 1956.

W świetle statystyk prowadzonych przez Pogotowie Ratunkowe duża liczba wypadków obciąża zakłady pracy. Notujemy około 1.200 wypadków przy pracy miesięcznie. Oczywiście, liczba ta nie odzwierciedla rzeczywistej liczby wypadków, zdarzających się przy pracy. Stanowi ona jedynie rejestr zgłaszających się do ambulatorium pomocy doraźnej, bądź rejestr pomocy udzielonej przez zespoły wyjazdowe pogotowia na miejsca nieszczęść. Rzeczywista liczba wypadków przy pracy jest dużo większa, a ich znaczna rozpiętość zaczyna się od drobnych zranień, czy innych urazów, a kończy na poważnych, groźących stałym kalekciem czy utratą życia.

Rzecz jasna, że straty powstające z tego tytułu w sensie społecznym i ekonomicznym są duże (zdrowie i życie człowieka, przerwy w pracy i związane z tym straty materialne: robocizna, czas, materiał itp.)

Źródła bezpośrednie wypadków (np. mechanizmy, prąd elektryczny, upadek przedmiotów, złamanie drabiny, narzędzia pracy itp.) są bardzo różne i na ogół nie typowe dla danej branży, lecz charakterystyczne dla całości przedsiębiorstwa, ponieważ powstają przeważnie podczas ruchu ludzi i materiałów (wliczamy w to również transport wewnętrzny). Głównie dotyczy to wypadków osób, upadku przedmiotów i manipulacji przedmiotami. Daje to w sumie według statystyk polskich około 50 proc. ogółu wypadków przy pracy. Odchylenia branżowe stanowią w statystyce bardzo małe wielkości, przy czym jest rzeczą charakterystyczną, że wypadki powodowane przez maszyny i inne urządzenia techniczne w żadnej branży nie przekraczają 20 proc.

Jżeli chodzi o wypadki wynikające z tzw. źródeł pośrednich (istotnych, jak np. zły stan urządzeń techniczno-produkcyjnych, brak przeszkolenia zawodowego o raz niedomagania w zakresie BHP wadliwe metody pracy, brak nadzoru itp.) to najbardziej dają o sobie znać wadliwe metody pracy (47,5 proc. wypadków) oraz niewłaściwe urządzenia stanowisk roboczych (14,1 proc. wypadków).

Jak rzekłem, liczba nieszczęśliwych wypadków przy pracy jest znacznie większa, niż się potocznie przypuszcza. Przyspieszony postęp techniczny, większa wydajność pracy stają się potencjalnym czynnikiem ich zwiększenia.

Dlatego na sprawy bezpieczeństwa i higieny pracy należy zwrócić baczniejszą niż dotąd uwagę.

W naszej praktyce przyjęto, że głównymi przyczynami powstawania nieszczęśliwych wypadków przy pracy są:

1) Sam pracownik — nie posiadający odpowiedniego przeszkolenia zawodowego, nie orientujący się w zakresie obowiązujących przepisów BHP i nie stosujący bezpiecznych metod pracy na stanowisku roboczym. Ponadto brak istotnie dobrego nadzoru ze strony przełożonych, tolerujących często wadliwą organizację stanowiska roboczego, oraz spo-

Wypadki,
wypadki...
JAK
IM
ZAPOBIEGAĆ

tykały w szeregu wypadkach brak troski o BHP w ogóle.

2) Niebezpieczeństwa grożące ze strony urządzeń technicznych lub procesów technologicznych. W tej mierze przyczyny mogą być: mechaniczne (uderzenia, zranienia, złamanie, upadki itp.), termiczne (odmrożenia, poparzenia), chemiczne (poparzenia, zatrucia), elektryczne (poparzenia, porażenia).

3) Zła lub niedbala organizacja otoczenia (tzw. zewnętrzne warunki pracy) — a więc słabe oświetlenie lub oświetlenie oślepiające, zbyt wysoka temperatura lub zbyt niska, zbyt suche powietrze (brak odpowiedniej klimatyzacji, właściwego stonienia wilgotności), duży hałas i drgania, zamglenie lub zanieczyszczenie powietrza, ciemnoty pomieszczeń, niewłaściwe barwy itp.

Mamy więc do czynienia z dwoma czynnikami: technicznym (materiałnym) i ludzkim (psychologicznym).

Poważne badania naukowe wykazały, że np. straty wywołane przez czynnik pierwszy są znaczne. Straty te to m. in.:

- zwiększona ilość wypadków,
- niedostateczna wydajność pracy,
- koszty odszkodowań itp.

Nota bene przeciętne koszty instalacji dobrego oświetlenia amortyzują się szybko i wahają tylko w granicach 30 proc. ponoszonych strat.

Nasza codzienna praktyka przemysłowa wytworzyła przekonanie, że człowiek potrafi tak się dostosować do otoczenia, iż nie warto tym otoczeniem się zajmować. Takie poglądy są jak najbardziej błędne i noszą już w sobie z góry utajone niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia ludzkiego w procesie produkcji.

Chodzi o to, ŻE ZADEN ZAKAZ NIE ZASTĄPI ZABEZPIECZENIA PRZED WYPADKIEM! Zabezpieczenie to, polegające na mechanicznych urządzeniach ochronnych i ochronach osobistych, jest pierwszopla-

nowym zadaniem każdego zakładu pracy i jego władz, a także warunkiem zmniejszenia niepokojących częstotliwości i rozpiętości wypadków. Ale to nie wszystko.

Poleganie jedynie na dobrej woli i dyscyplinie pracowników, a także na ich zdolności zachowania uwagi i ostrożności nie może być sensownym podejściem do sprawy. Człowiek jest „tylko człowiekiem”. Zachowanie jego zależy od wielu różnorodnych czynników. Zachowania człowieka w procesie pracy nie da się przewidywać ze ścisłością, z jaką przewiduje się funkcjonowanie maszyny automatycznej.

Ze statystyk światowych wynika, że źródeł 90 proc. wypadków należy szukać w postawie i zachowaniu się pracownika wobec maszyn, urządzeń technicznych i przyrządów, a więc w jego niedyspozycjach biopsychicznych i psychomotorycznych. Są to oczywiście najważniejsze, ale jednocześnie najtrudniejsze do uchwycenia uwarunkowania, wiążące się z naturą ludzką. Tym bardziej, że w grę wchodzi tu różnica indywidualne w sposobach reagowania na dane instrukcje. Często też można stwierdzić brak dobrej woli i niezdolności do postępowania według instrukcji.

Wszelkie przejawy zmęczenia i rozprężenia mechanizmów psychomotorycznych u człowieka mogą spowodować znaczny wzrost wypadków. To samo dotyczy pracowników, którym brak doświadczenia, przeszkolenia i zaradności na stanowisku roboczym.

Dlatego też problem bezpieczeństwa i higieny pracy powinien być rozpatrywany nie tylko z punktu widzenia techniki, ale także psychologii, socjologii i fizjologii pracy. Dopiero w tym kontekście można w pełni zrozumieć, dlaczego walka z wypadkami przy pracy w warunkach przemysłowych jest trudna. Równie trudno ustalić zasady i środki prewencji.

W maju br. odbyła się w Łodzi konferencja naukowa zorganizowana przez Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej, Oddział Łódzki Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa oraz Łódzki Dom Kultury. Nawiązując do dorobku tej konferencji proponowałbym utworzenie w Łodzi ośrodka badań problemów pracy ludzkiej przy którymś z dużych zakładów przemysłowych np. w przemyśle włókienniczym. Z badań i wyników takiego ośrodka, który grupowałby lekarzy przemysłowych (medycyna pracy), psychologów i socjologów, fizjologów, neurologów i psychiatrów oraz organizatorów pracy i ekonomistów — mogłyby korzystać w pełni wszystkie zakłady pracy. Bez udziału nauki, bez praktycznego wykorzystania jej dyrektyw nie osiągniemy celu, jakim jest stworzenie warunków bezpiecznej pracy człowieka.

PAPIER BYŁ POTRZEBNY JUŻ SETKI LAT TEMU. W STAROŻYTNYM EGIPCIE USIŁOWANO ZASTĄPIĆ GO PAPIRUSEM, W RZYMIE I GRECJI ZŁOTYMI, SREBRNYMI LUB MIEDZIANYMI TABLICZKAMI, OBLANYMI WOSKIEM, W AZJI MNIEJSZEJ A POTEM I WE WSZYSTKICH OGNISKACH ÓWCZESNEJ KULTURY — WYPRAWIONĄ BARANIĄ, OŚLĄ, LUB CIELEĆĄ SKÓRĄ, KTÓRĄ OCHRZCZONO MIANEM PERGAMINU. ALE CUDEM LUDZKIEGO UMYŚLU I OGROMNĄ SZANSĄ DLA LUDZKIEJ MYŚLI OKAZAŁ SIĘ DOPIERO PAPIER.

Między starymi a nowymi laty

Narodził się on w Chinach na początku naszej ery. Po kilku wiekach tajemnicę jego wyrobu zdobyli — poprzez chińskich jeńców Arabowie. U godstawa triumfalnego pochodzącego papieru przez świat stały podboje, wojny, wśród nich wyprawy krzyżowe. Z podbitej przez Arabów Hiszpanii u miejscność wyrobu papieru przedostaje się do Włoch, Niemiec, Polski i innych krajów. W niewoli u niewiernych i od przeklinanych Saraceniów uczyli się europejscy rycerze — krzyżowcy, papieżniczej sztuki.

Papier ceniono na równi ze złotem i brylantami. Zdobycy Ameryki Środkowej — Cortez, wraz z innymi skarbnymi posłał królowi hiszpańskiemu papier, wyrabiany przez Azteków.

Do rangi faktów historycznych urosły pierwsze dzieła i dokumenty pisane na papierze; księgi Buddy z II i III wieku, czy list Konstancyntyna IX do Kalifa Abderramana pisany na niebieskim papierze złotem i srebrzem.

W dzisiejszym świecie znaczenie i pożądanie papieru wciąż nie zmalało. Był potrzebny setki lat temu, jest potrzebny nieporównanie więcej obecnie. Człowiek od momentu narodzin — kiedy wydadają rodzicom akt urodzenia, do chwili śmierci — kiedy wydadają rodzinie akt zgonu styka się z papierem. I mają chyba rację biografowie papieru, mówiąc że rządzi on światem.

Co widać?

W Polsce z papierem nie jest wesoło. Statystycy krączą, że zajmujemy pod względem zużycia papieru jedno z ostatnich miejsc w Europie. I choć w br. wytwarzamy 626 tys. ton w stosunku do 239 tys. ton przed wojną, produkcja papieru nie może sprostać potrzebom. A zapowiada się tak pięknie...

W tradycjach papieżniczych wyprzedziliśmy swego czasu (XV wiek) Anglię, Czechy, Węgry i Holandię. Już w roku 1473 istniała w Gdańsku pierwsza papieżnia. W rok potem wydrukowali pierwszą książkę — zaledwie w 19 lat po pierwszej książce w świecie (1455 r.). Ba, ale wtedy robiło się papier ze szmat bawelnianych i nie było kto był jego odbiorcą.

Odkąd książka „zawędrowała pod strzechy” odkąd trzyletnie dzieci sięgają po brzości, żeby namiętnie abstrakcyjną wizję świata, białogłowy nauczyli się pisać a „klozetowe babki” za 30 groszy muszą wstępnie nie grubą rolę „Solali” — papier stał się artykułem najpierwszej potrzeby.

A jak tu sprostać wymogom, kiedy złośliwa natura obdarzyła Polskę szczytami drzewami liściastymi a skąd do najbardziej pożądanym do wyrobu papieru — świerkiem?

Od roku 1866 bowiem, kiedy to Amerykan Tighman użył celulozy (masa otrzymywana drogą procesów chemicznych z drzewa, ja-

kością nie ustępująca masie papieżniczej otrzymywanej ze szmat) do wyrobu papieru, szmaty zostały prawie całkowicie wyparte. Prawie 12 dolarów musimy płacić za jeden metr sześcienny drzewa świerkowego sprządzanego z Finlandii. W tym roku import oblicza się na 100.000 m³ drewna ze strefy dolarowej. Z roku na rok mającej możliwość importu. Za 5-6 lat możemy zostać absolutnie „na lodzie”, nikt nam drzewa nie sprzeda. I co wtedy?

Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w Instytucie Celulozowo-Papieżniczym przy ul. Gdańskiej w Łodzi. Właśnie dyrektor Instytutu — mgr Brunon Jamera rozłożył przede mną tę apokaliptyczną wizję. Tym bardziej efektywnie i cennie wypada działalność Instytutu, którego pracownicy — jak nie przymierzając alchemicy poszukujący kamienia filozoficznego — szukają wyjścia z papierowego impasu. Znaleźli nowe surowce do produkcji papieru jest więc podstawowym celem Instytutu. Dla jego realizacji.

Nauka poszła w las

I okazało się, że papier można produkować nie tylko z świerku, mało go przecież mamy, ale i z innych dotychczas niewykorzystywanych gatunków drzew — brzozy, topoli, osiki, grabu czy buka, który gnije w Bieszczadach.

Zespół pracowników Instytutu pod kierunkiem mgr B. Jamera przystosował na przykład do potrzeb produkcji papieru brzozę. Wprowadzono do kilku zakładów papieżniczych nowa technologia przyniesie rocznie 60 tys. m sześć. surowca.

Zespół mgr inż. B. Białobłockiego dokonuje prób zastąpienia świerka topolą i osiką. W Myszkuwie ma powstać specjalny oddział doświadczeniowy w którym sprawdzi się laboratoryjne doświadczenia. Przewiduje się, iż ta metoda pozwoli zaoszczędzić rocznie 35 tys. m sześć. świerka.

Wydana przed wojną encyklopedia ilustrowana M. Arcta podaje, że w niektórych krajach robi się papier ze słomy. Obecnie dzięki pracownikom Instytutu do tych „niektórych” zaliczyć można i Polskę. I choć na razie przerabiamy znikomą ilość słomy (około 10 tys. ton) wysiłki Instytutu i jego prace naukowe-badawcze idą w kierunku najbardziej korzystniejszego przerobu słomy na celulozę i w konsekwencji na papier. Ilość słomy rocznie w Polsce oblicza się na 26 mln ton. Gdyby choć uzyskać 7 tys. ton celulozy słomianej rocznie, to oszczędność stałaby się wyniosła wyniosłaby ponad pół miliona dolarów. Jeżeli zainteresowanie słomą nie okaza się „słomianym ogniem” to oświetla się przed przemysłem papieżniczym piękne perspektywy...

Poza odkrywaniem nowych surowców drugi nurt wysiłków, skierował Instytut na jak największe wyeksploatowanie już istniejących i uznanych. Ze 100 kg. drewna otrzymuje się przeciętnie 50 kg celulozy. Opracowana pod kierunkiem doc. Ireny Łapińskiej metoda pozwoli na otrzymanie 60-65 kg celulozy.



IRENA DRYLL



ALCHEMIA



PAPIERU



Twórcy - twórcom

wał nitrocelulozę do strzelania i papier.

Zakład papieżnictwa — choć także papieżem się zajmuje, nie przypomina w niczym dawnych papieżni, gdzie masę papieżową uzyskiwano ze zmiażdżonych i rozgotowanych szmat preparowanych w specjalnych kadziach. Woda — jak w młynie napędzała tłoczki miażdzące. Masę papieżową sitami czerpano z kadzi, prasowano między płaciami sukna w prasach, suszono na skócu i gładzono. Nie rozszalałby się chyba w zakładzie stary Louis Robert — twórca pierwszej maszyny do wyrobu papieru tzw. papieżnicy (1799) — choć i dzisiejszy system produkcji mimo wielu zmian opiera się na jego pomysły.

Czy mógł przypuszczać, że półmłotem zamiast zajmować się „normalnym” papieżem zrobią zeń coś na kształt twardego drewna? W zakładzie opracowano bowiem tzw. papier „podłożowy” do wyrobu laminatów, zastępujących fornir. Przypomina on zwykłą bibułę którą po nasyceniu tworzywami sztucznymi świetnie nadaje się na wszelkiego rodzaju wykładziny w miejscach forniru, płytek ceramicznych, a nawet karoserii samochodowych. Śliczne kolorowe płytki laminatowe, tańsze od forniru, łatwo zmywalne, lekkie, nie poddające się wilgoci, będą już od przyszłego roku produkowane na skalę przemysłową. Dzieło Instytutu (two rzywa do nasycenia były znane, papier stanowił cały szkopuł) zawita do łazienek, kabin okretowych i samolotowych szpitali, mieszkań zjawia się jako okładzina na meblach, na samochodach itd.

Grozi nam, że niedługo już będziemy pić nie z butelki, a z papieru. W Zakładzie przetworów papieżniczych (pracuje tu jeden z najlepszych w Polsce specjalistów od chemizacji papieru, mgr inż. K. Paleńnik) powstają pierwsze papieży nie przepuszczające wody, pary, tłuszczu, turebki — butelki, w które można nalać mleka, cały asortyment niesłychanie potrzebnych opakowań dla różnych produktów o różnych właściwościach.

Bardzo interesujące badania przeprowadza zakład produktów ubocznych (kierownik — docent dr K. Sarnecki). W produkcji papieru wykorzystuje się jeden tylko składnik drzewa — celulozę. Inne tzw. ługi posiarzynowe „uciekają” z wodą. Podobno Wisłą płyną miliony litrów spirytusu i płynnie wspaniała pasza dla bydła. Podczas procesów tworzenia celulozy powstają cukry fermentujące z których można uzyskać spirytus i drożdże pastewne, a z wywaru pofermentacyjnego — materiał opalowy, zastępujący węgiel. W Niedomicach, Włocławku i Czulowie powstają fabryki, które będą wytwarzać spirytus i drożdże.

Przemysł celulozowo-papieżniczy w 1965 roku m produkować 12 mln litrów spirytusu i 5 tys. ton białkowych drożdży pastewnych. Efekt? Oszczędność tysiąca ton kartofli, urozmaicone „menu” dla bydła.

Oszczędność wody leży na sercu zakładowi gospodarki wodnej. Obecnie na 1 kg papieru zużywa się 200 litrów wody, na 1 kg celulozy 600 litrów wody. To stanowczo za dużo, jak na nasze wodne możliwości. Punktem rozbieżnym między ICP a innymi instytutami jest zakład analityczny, który zajmuje się analizą papieru in grejio — dla wszystkich placówek Instytutu. Gdzie irrdziej każdy zakład „analizuje” na własną rękę.

W Instytucie znajduje się także Ośrodek dokumentacji naukowo-technicznej i informacji (setki czasopism, tysiące książek), w którym

po raz pierwszy w Polsce mgr J. Siniarska-Czaplicka opracowuje historię papieru i znaków wodnych na Mazowszu. Okazuje się, że na świecie jest kilka ośrodków zajmujących się znakami wodnymi. Polska musi do nich „doszłusować”. Po co? Znaki wodne (na przykład takie jakie widać na banknotach pod światło), mają znaczenie dla datowania rękopisów, identyfikacji pewnych dokumentów i historii. Opaśle teczki z papierami zawierającymi znaki wodne wyglądają niesłychanie dostojnie, malowniczo i przyjemnie „zalatują myszką”.

Effekty

Instytut podlegał kolejno przemysłowi lekkiemu, chemii, był w oddzielnym „własnym” ministerstwie, obecnie jest w... lasach — bo papier robi się z drzewa. W Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego uznawany jest za beniaminka. Ten fakt nie chroni go bynajmniej przed trudnościami.

Powtarza się jak w każdym innym instytucie piosenka — że brak około 15 laborantek, że trudno „złapać” młode, zdolne kadry wobec przepisu o konieczności 2-letniego stażu w przemyśle (po stażu młodzieńcy i panny demoralizują się — zarobki w Instytucie są dla nich za małe). Brak możliwości dostarczenia pracownikom mieszkania, ciągnąca się w nieskończoność adaptacja pomieszczeń dla półtechniki w Rudzie Pabianickiej, długi cykl wprowadzania opracowań Instytutu do przemysłu — to kilka zaledwie uwag z długiej listy założeń. Cytuję je tym chętniej, że Instytut jest naprawdę bardzo potrzebna placówką. Pomijając już szereg innych względów, chociażby dlatego, że pracuje na potrzeby około 25 wielkich przedsiębiorstw celulozowo-papieżniczych, od których zależy czy papier będzie, jaki i ile, czy będą laminaty, turebki — butelki itp.

Effekty pracy placówki naukowo-badawczej, jeżeli już są, to zbyt cenne, by można wyliczyć je w kilogramach, tonach i liczbach. Wspomnę — za dyrektorem do spraw naukowo-badawczych — doc. Cz. Pustelnikiem, jedynie kilka gatunków papieru — opracowanych po raz pierwszy w Polsce przez Instytut:

Antykor — papier antykorozyjny, w którym można przewozić części metalowe (szczególnie ważny przy eksporcie do „tropików”);

Papier światłoczuły — fotograficzny (ten w którym odbijamy klisze).

Papier metalizowany i elektroprowadzący.

Specialny gatunek papieru do robienia planów topograficznych, — nie może on zmieniać kształtów pod wpływem czynników atmosferycznych (w Burmie błądziły wojska, bo papier się zmieniał „falszował” skalę. Szereg gatunków papierów elektroizolacyjnych).

Papier do laminatów itd. O opracowaniu szeregu innych efektownych i cennych metod produkcji papieru i nowych surowców już wspominałam.

Czym tu zakończyć? Może wzajemnymi gratulacjami że nie żyjemy w czasach Savonaroli, który wygłaszał kazania na tle pionących stosów heretyckich książek? Książki są jak wiadomo z papieru, a Instytut żyje dla papieru.

Może wylizaniem że rocznie na książki idzie w Polsce 25 tys. ton papieru. To znaczy 2.500 wagonów 10-tonowych czyli 50 pociągów 50 wagonowych.

Może radosnym westchnieniem, że rozwój Instytutu jest najlepsza gwarancja na to, że nie zbraknie nam książek, a książka to przyjaciel człowieka.

Do wyboru, do koloru.

str. 8 **odqtosu**



Kopenhaga — wybrzeże Sundu — posąg syreny



Kopenhaga — dzielnica portowa „Nyhavn”

życiem wieczornym i nocnym w dzielnicy Nyhavn w Kopenhadze.

KOPENHAGA

Sam Nyhavn to szeroki kanał portowy obudowany malowniczymi domkami barokowymi o bardzo zróżnicowanych fasadach, trochę przypominają Gdańsk. W częściach parterowych i suterenowych mieści się mnóstwo „lokali rozrywkowych”. Są to najczęściej ciasne ciupki, jaskrawie i egzotycznie udekorowane pod południowe i wschodnie tawerny. Na wysokim zazwyczaj piedestale produkują się hałaśliwa orkiestra, a w dole, w oparach alkoholu i dymu tytoniowego, klebi się różnojęzyczna masa ludzka. Od czasu do czasu część tego bagażu wypada na ulicę by zatańczyć jakiś porachunek. Kiedy się patrzy na piękne, lekkie fasady uroczych domków Nyhavn wieńczy się nie chce, że kryją one tyle ludzkiego brudu i upodlenia. Kopenhaga umie się jednak i inaczej bawić, wesolo aż do zapamiętania, ale pięknie, młodzieńczo. Takim centrum zabaw jest wspaniały park „Tivoli” z zawrotną ilością urządzeń rozrywkowych, od strzelnic, automatycznych ruletek na drobne monety, poprzez karuzele z odrzutowcami i hale z maleńkimi samochodzikami aż do sal tawernych z konfetti, serpentynami itd. Wszystko to oświetlone prądowym światłem. Kopenhaga to magnes który przyciąga wszystkich Skandynawów. Kiedy Norweg lub Szwed chce naprawdę wesolo się bawić — jedzie do Kopenhagi. To miasto urzeka i stale się uśmiecha swymi malowniczymi domkami nad cichymi kanałami.

(III)

W Skandynawii

JEZYKOWE SPORY

Norwegowie rozmawiają zarówno z sobą jak i z gośćmi tak długo spokojnie jak długo nie rozmawia się o języku norweskim. Na tle językowym wynikają od razu gorące spory i kłótnie. Źródłem tych sporów należy jak zwykle szukać w historii. Język norweski rozwijał się w średniowieczu w oparciu o lokalne dialekty oraz czerniąc liczne impulsy ze szwedzkiego i duńskiego. Później, w XIV wieku, nie bez znaczenia był i Plattdeutsch. W czasie kilkusetletniego panowania Duńczyków wpływ duńskiego stawał się coraz większy. W XVI wieku Norwegowie pisali językiem duńskim, który był jednak zupełnie inaczej wymawiany. Lecz po zerwaniu unii z Danią w 1814 r. zaczęła wzrastać szybko silna opozycja przeciw duńskim naleciałościom.

Około połowy XIX wieku językoznawca Ivar Asen tworzył podstawy nowego języka norweskiego w oparciu o dialekty wiejskie. Język ten nazywany został „landsmaal”. Stale wzrastająca liczba nacjonalistów domagała się, aby ten właśnie język uznany został za powszechnie obowiązujący w przeciwnieństwie do „riksmaal”, którym mówiła ludność miast. Kwestia językowa urosła do problemu polityczno-społecznego. Norwegowie podzielili się na dwie zwalczające się partie. Wiele posiedzeń „stortingu” — parlamentu norweskiego poświęcono gorącym debatom i sporom w kwestii języka. Obecnie oba języki uznane są za równoprawne. Powstał nowy trzeci język tzw. „Samnorsk” ogólnonorweski, który usiłuje połączyć oba wyżej omówione języki.

Czy z tej mediacji coś wyniknie trudno powiedzieć, bo zwolennicy różnych języków są bardzo zacietrzewieni i stoją raczej na nieprzejednanych pozycjach. Stąd też, zaleźnie od większości zwolenników we władzach poszczególnych dzielnic i miast, można prasa i wydawnictwa czytać w rozmaitych językach. Biała cudzoziemcowa, który nieopatrznie opowie się za którymś z języków. Nie opowiedzieć się jest jednak również niedobrze. Po kilku bardzo przykrych doświadczeniach jak ognia unikam rozmów o języku.

Norwegowie lubią dyskutować i to na poważnie. Najlepiej scharakteryzował różnicę między Norwegami, a Duńczykami jeden z moich duńskich znajomych. Otóż swego czasu rozpetala się w czasopiśmie norweskich dyskusja na temat piekła — jak je należy rozumieć itd. „Widzi pan — mówi Duńczyk — my Duńczycy jeżeli dyskutowalibyśmy podobne sprawy, to tylko problem rażący”. Jest to bardzo trafna charakterystyka bowiem Duńczycy przekładają nad wszystko pogodę i spokój, są jednak bardziej ciężkomyślni niż Norwegowie. Złośliwi twierdzą, że to wpływ piwa zwanego po duńsku „øl”, którego Duńczycy rzeczywiście wypijają mnóstwo.

Wracając do Norwegów. Jak wynika z historii o językowych sporach cechuje ich wielki indywidualizm. Rozwinęciu się tego rodzaju umysłowości sprzyja z pewnością wielkie rozdrobnienie osadnicze i w miastach i na

provincji. Wsi np. w rozumieniu polskim w Norwegii w ogóle nie ma. Osadnictwo jest wyłącznie jednodworcze i w znacznym rozrzedzeniu. Indywidualizm ten nie był również nigdy specjalnie krepowany.

Szczególnie w Norwegii uderza głęboki demokratyzm w stosunkach między ludźmi. Zasada poszanowania każdego rodzaju pracy, a w związku z tym i poszanowania wzajemnego ludzi, jest tutaj faktem. Nie zaobserwowałem nigdzie uniżoności, wyższości i arogancji w stosunkach ludzi znajdujących się na bardzo różnych poziomach społecznych. Obecnie jest mieszkańcom norweskich

Norwegowie mają czwartą co do wielkości flotę handlową, wie prawie każdy, natomiast mniej się mówi o bardzo rozwiniętym wielorybnictwie. Zachodnie wybrzeże Oslofjord — miasto Tönsberg, Sandefjord i Larvik są tak przesiąknięte atmosferą łowców wielorybów, że nie sposób tu o czym innym mówić czy myśleć. Tu znajduje się kolebka nowoczesnego wielorybnictwa.

Mieszkaniec miast Tönsberg, Sven Toyn, w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia po raz pierwszy na świecie zastosował armatki z harpunem na dziobie swej statku. Początkowo polowania odbywały się na wodach

oraz ponad 100 statków przystosowanych do połowów. Dla porównania dodać należy, że Anglia dysponuje tylko trzema tego rodzaju bazami. Japonia ma 2 a Związek Radziecki i Holandia po 1.

W czasie zwiedzania takiego statku-bazy, jeden ze starych łowców skarżył mi się, że obecnie Japończycy coraz bardziej przejmują inicjatywę w wielorybnictwie światowym. Ostatnio nawet jedno z przedsiębiorstw norweskich sprzedało im 2 statki-bazy, oraz stację wielorybniczą na jednej z wysp Antarktyki. Japończycy są w stanie sprzedawać o wiele taniej produkty wielorybni-

JERZY KMIECINSKI

miast lekceważący stosunek do mieszkańców prowincji, tak niestety jeszcze częste zjawisko wśród naszych miejskich koltunów. Zresztą wieś norweska, to wieś wysocy kulturalna. Nie jest to oczywiście wynik tego, że Norwegia leży na Zachodzie. Nie bliźniejszego tak właśnie sędzić. Demokratyzm jak i kultura wsi wypływa przede wszystkim z tego, że chłop norweski nie był nigdy chłopem pańszczyźnianym. Norwegowie w ogóle nie mieli grafów i innych możnowładców. Pochodzenie szlacheckie jest w Norwegii kategorią zupełnie niezrozumiałą. Nie mogą się oprzeć teraz myśli o wszystkich polskich snochach z sygnetami rodowymi na palcach.

Polski chłop wykorzystywany był w Polsce przedrozbiorowej na wysięgi przez pana i plebana, następnie jeszcze na dodatek przez zaborcę, wszyscy byli przy tym zgodni, że chłop powinien być ciemny, a często pijany. Przez cały ten okres chłop norweski mógł stosunkowo bez większych oporów podnosić stale swój poziom wiedzy. Dziś rolnictwo w Norwegii reprezentuje wysoki poziom kultury rolnej Gospodarstw, które by prowadziły gospodarke tzw. samowystarczalną, a wiec i uprawę zboża, i chów trzody chlewniej, i bydła, i gospodarke mleczną, właściwie nie ma. Zależnie od miejscowych warunków glebowych chłopi norwescy koncentrują się bądź na gospodarce zbożowej, bądź mlecznej, bądź hodowlanej. Szczególnie rozpowszereżniona jest gospodarke zbożowa oraz roślin okopowych i warzyw, ponieważ produkty mleczne i mięsne Norwegia sprowadza po dogodnych cenach z Danii. Rolnicy wiec norwescy w tych dziedzinach nie wytrzymują konkurencji.

Wszelkie prace polowe wykonywane są traktorami. Konie to wielka rzadkość. W rozmowach z rolnikami norweskimi ci ostatni dziwili się jak możemy sobie pozwolić tak masowo na luksus koński.

WIELORYBNICTWO

Nie rolnictwo jednak przynosi Norwegom największe dochody — bogactwo leży w morzu i w lasach. O tym, że

Arktyki. Obecnie głównymi terenami łowieckimi są morza Antarktyki. Tam, daleko na południe wyjeżdżają całe floty małych statków, o wyp. 600 BRT przystosowane do połowania, z charakterystycznym gniazdem bocianim do wypatrywania wielorybów i z harpunowym działkiem na dziobie. Towarzyszą im olbrzymie statki bazy o wyporności 25.000 BRT. Jest to cała wielka pływająca przetrwornia. Norwegia posiada 9 takich statków-baz

eze ponieważ dysponują niezmiernie tania siła robocza. Marynarze japońscy bardzo często i podobno chętnie, część swego zarobku otrzymują w postaci mięsa wielorybiego. Połowy odbywają się oczywiście w czasie lata antarktycznego czyli w ciągu naszej zimy.

Brałem udział w pożegnalnej uczcie, na jednym ze statków wielorybniczych. Wyjście bowiem z norweskich portów następuje w ciągu września, powrót zaś

widziałem jak w Stavanger dwóch podstarzałych gentlemanów rozdziawszy się z marynarek, uprawiało normalny boks, wykrzykując przy tym brzydkie słowa.

Siedliskiem tzw. „elementu” są najczęściej sklepiki z napisem „Tobak”. Oprócz tabaki można tam oczywiście otrzymać różne inne artykuły, które następnie powodują ożywione dyskusje w rodzaju już opisanej. Są to jednak wszystko dziecinne igraszki w porównaniu z bogatym



„Pocatlunek” — dzieło największego współczesnego malarza norweskiego Edvarda Musicha.

Najostrzejsze
ołówki świata

Jurij
Czerepanow

Oto jeszcze jeden przykład bliskotliwej kariery humorysty: Jurij Czerepanow jeszcze przed niespełna trzema laty był inżynierem architektem, jednym z burdowniczych nowej linii moskiewskiego meira. Zarzy rysował w wolnych chwilach, tylko dla własnej przyjemności. Namówiony przez żonę — zawodową plastyczkę — przedstawił się całkowicie na rysowanie karykatur. Dziś należy do ulubionych humorystów, ięgo dowcipy, powielane w 1.3 miliona nakładu „Krokodyla“ są popularne w całym ZSRR.

Czerepanow — obok U-szaca, Gurowa i Makarenki reprezentuje „młodą falę“ humoru radzieckiego. Naczelną zasadą w twórczości tej grupy jest śmieśszność. A więc nie tylko gniew, oburzenie, złośliwa ironia — cechy które jeszcze niedawno dominowały w karykaturze radzieckiej — lecz także komizm. Rzecz — zdawać by się mogło — dawno rozstrzygnięta teoretycznie, w praktyce bywało jednak nieco inaczej. A przecież wróg śmieszny nie przestaje być groźny, przestaje tylko imponować. (Warto przypomnieć choćby cytaty z Engelsa: „robotnicy niemieccy prowadzili walkę zawsze z humorem, który jest najlepszym dowodem ich wiary w swoją sprawę i świadomości własnej przewagi“...)

Udział Czerepanowa w dokonaniach owej „młodej fali“ — to przede wszystkim tematyka obyczajowa. Jurij jest w tej dziedzinie humorystą bardzo rzetelnym, wykazuje wielką znajomość ludzi, odważnie sięga do spraw nieraz przemilczanych. Odnajdziemy w tych rysunkach kawał problematyki współczesnego życia w ZSRR.

Jurij Czerepanow ma 37 lat. O jego popularności najlepiej świadczy fakt, że w ciągu krótkiego czasu wydał trzy tomy swoich żartów.

(Jert)



Lejce urzędnicze



Lew i lwica



Mama bije twój rekord życiowy



Daj mi jeszcze herbaty!

Wywiad z kierownikiem
artystycznym
FILHARMONII
ŁÓDZKIEJ
Stefanem Marczykiem

Pytanie: „Odgłosy“ składają panu gratulacje z powodu objęcia stanowiska kierownika artystycznego naszej Filharmonii. Jaką linię repertuarową będzie pan realizował w bieżącym sezonie?

Odpowiedź: Bieżący sezon muzyczny będzie nieco lżejszy niż zeszłoroczny. Będziemy wykonywali wiele utworów z okresu przedklasycznego i klasycznego — co jest zresztą zgodne z zaleceniami Ministerstwa Kultury. Z muzyki polskiej nasza publiczność usłyszy utwory kompozytorów tworzących przed Szymanowskim. Nie znaczy to, że zaniechamy zupełnie wykonywania dzieł muzyki nowoczesnej — rzeczy znane i uznane w dalszym ciągu będzie można usłyszeć z naszej estrady.

Pyt.: Proszę, panie dyrektore, o wymienienie ważniejszych pozycji repertuarowych.

Odp.: Łódzka publiczność koncertowa szczególnie lubi wielkie dzieła oratorskie. Wykonamy w tym sezonie obok „Magnificatu“ Bacha — Haendla „Judasza Machabeusza“ (chór PWSM). To oratorium poprowadzi Kazimierz Wilkomirski. Wykonamy oprócz tego Verdiego „Requiem“ oraz z udziałem chóru — Ravela „Dafnis i Chloé“, a także jedyny utwór Szymanowskiego dołącz w Łodzi nie wykonywany „Harnasie“.

Pyt.: Kogo gościć będziemy na naszej estradzie w bieżącym sezonie koncertowym?

Odp.: Jeszcze w tej chwili nie mogę podać pełnego zestawu nazwisk — nie wszystkie terminy są uzgodnione, ciagle jeszcze prowadzimy rozmowy z wieloma wybitnymi artystami. Wystąpią na pewno dyrygenci: Kabf, Iljiew (Bułgaria), pianiści: Maleużyński,

Kijoko Tanaka, Lew Wlasenko, skrzypaczka Marina Jaszwill.

Pyt.: Były kierownik artystyczny Henryk Czyż, ma w Łodzi wielu zaprzyjaźnionych wielbicieli. Czy zobaczymy go na naszej estradzie w bieżącym sezonie?

Odp.: Do tej pory zagwarantował jeden koncert. Będziemy się jednak starali skłonić go, aby przynajmniej jeszcze dwa razy u nas wystąpił.

Pyt.: A kogo zobaczymy z polskich dyrygentów?

Odp.: W zasadzie wystąpią u nas niemal wszyscy nasi sławni dyrygenci. A więc: Wisłocki, Kallewicz, Wilkomirski, Górzyski. Będziemy się starali o pokazanie młodych: Baranowskiego, Markowskiego, Missony. W dalszym ciągu realizować będziemy akcję koncertów popularno-rozrywkowych, w których występować będą orkiestra LRPR pod dyrykcją Henryka Debiecha i wielu solistów.

Pyt.: I na zakończenie — czy dorocznym zwyczajem, orkiestra nasza przewiduje jakieś wojaże artystyczne?

Odp.: Są na razie luźne projekty dwóch wyjazdów, do Warszawy i — w ramach wymiany z Filharmonią Pomorską — do Bydgoszczy.

Rozmawiał M. W.



Łódzki Bigos
Historyczny

czyli co było a nie jest piszemy w rejestr

(Kurjer Łódzki — Dziennik polityczny, społeczny i literacki, rocznik 1911 m-ce IV—VI, nry 75, 81, 84, 89, 94)

ŁÓDZKIE PETARDY
WIELKANOCNE

Wczoraj wieczorem na Konstantynowskiej w okolicach Nowego Rynku, rozległ się ogłuszający huk. Przechodnie zaczęli kryć się w bramach, sądząc, że rzucona została bomba na przechodzący właśnie patrol policyjny. Skończyło się na strachu. Ulicznik jakiś podłożył pod przechodzący tramwaj nadzwyczaj silną petardę wielkanocną. Figle takie w dzisiejszych czasach nadzwyczaj ujemnie działają na nerwy.

TEATR KUKIELEK
W ŁODZI

Począwszy od jutra, dawane będą codziennie w sali przy ulicy Przejazd 1 przedstawienia „Teatru Kukielek“. W programie: baśnie i lekkie utwory muzyczne.

Przedstawienia, które mają na celu dać dzieciom Łodzi poezję baśniową w najpiękniejszej formie artystycznej i wykonaniu, kształcić i podnieść smak estetyczny młodzieży, a jednocześnie zasilić instytucję dobroczynną (łódzką „Kropkę Mleka“) — zastępują na poparcie naszej publiczności.

WARSZAWSKI „MOMUS“

Kaplani wesolęgo bożka (z warszawskiego „Momusa“) zjeżdżają w komplecie, zbrojni w bogaty zasób piosenek i dykteryjek. Sala Koncertowa (Dzielnia) rozegra się echem prawdziwego wesela i humoru.

NIE OD DZIS...

Amerykański sekretarz wojskowy Dickinson został na bankiecie dyplomatycznym w Tokio ześlony przez mówcę japońskiego. Zajeście to uważają w amerykańskich kołach rządowych za wypadek poważny, który może zaostriżyć sytuację.

WRÓCIMY DO
PAPYRUSU?

Wytwórczość światowa w roku 1908 zużyła 7,3 mld drzew (na papier) co równa się wycięciu lasu o obszarze 600 tys. ha. Do produkcji papieru próbuje się obecnie używać stare liny, bambusy, trzciny cukrowe, liście mrowowe. Francja zamyśla o spożytkowaniu trawy z kolonii. Istnieje projekt powrócenia do papyrusu, który rośnie masowo w Kongo i Sudanie.

BENEFIS JARACZA
W ŁODZI

W piątek, 28-go ujrzymy na scenie naszej („Teatru polskiego“ A. Zelwerowicza) głośną nowość, a mianowicie dramatu w 4 aktach Maxa Dreyera „Na Progu Młodości“ (Die Siebzehnjährigen). Sztukę tę wybrał na udzielenie przez dyrekcję benefisowe widowisko, uzdolniony i ceniony artysta p. Stefan Jaracz, którego szeroki talent znany jest naszym byłym teatralnym. Jesteśmy pewni, że w dniu tym publiczność zapelni widownię po brzegi.

ZNOW POZARY...

Wskutek powziętych podejrzeń władz śledczych, jakoby pożar w składach towarów welnianych i bawelnianych trzech firm łódzkich (Rautera, Rawskiego i Perlego) wynikał z podpalenia, przesłano laboratorium miejskiemu towary do analizy, która wykryła obecność nafty w wielu towarach. Szkodę przeniosły sumę 250.000.

Wybrał:
ZDZISŁAW KONICKI

LEOPOLD BECK

Kto odważyłby się stwierdzić, że to łatwa sprawa dla Teatru 7.15 znaleźć swoje własne miejsce obok trzech teatrów dramatycznych i dwóch muzycznych w mieście Łodzi? Nie, to tylko na pozór takie proste: nie dublować innych scen, a wybrać repertuar, zainicjowany przez pozostałe teatry. Wiadomo — od lat istniejąca luka repertuarowa, w której teatrzyk typu estradowego wygodnie się zmieścić może, wystawiając małoformatowe komedie muzyczne i niemuzyczne, dając spektakle kabaretowo-skladankowe z piosenkami, tańcem — krótko mówiąc z nowoczesną lekką muzyką kameralną, w głównej roli.

Wobec tego zdawałoby się, że Teatr 7.15 wrócić powinien do własnej przeszłości, kiedy się tylko inaczej nazywał, i doskonalić się w tym swoim rodzinnym rzemiośle.

A czy tego zwrotu nie dokonano już i to właśnie teraz, na początku nowego sezonu i pod kierownictwem artystycznym Janusza Kłosińskiego, uczestnika wielkich bojów teatralnych w naszym mieście, począwszy od Karhana aż do Naczyrdupsa? Obawiam się, że uczestnik tych kilkunastoletnich klubnych bojów nie będzie się zbyt gorliwie ubiegali o względy lekkiej muzy, z którą chcemy go wyswatać... czyli, że sami udzielamy sobie odpowiedzi na pytanie w sprawie powrotu 7.15 do swojego rodzinnego warsztatu.

Przynależność Teatru wykazała maksimum dobrej woli, adaptując „Zagłoba — swatem“, kompilację tekstów i piosenek, okrzykniętą jako widowi-

sko prowincjonalne, do potrzeb sceny wielkomiejskiej; dobrej woli w dążeniu do kompromisu między lekką muzyką i Melpomeną. Przecież „Zagłoba — swatem“ jest rozrywkowa śpiewowgr, jak określają co wybitniejsi teatrolodzy tego rodzaju śpiewotancowisko, czyli że niby duże to, czego szukamy od siódmej piętnaście do dziesiątej czternaście na ul. Traugutta.

Teatr 7.15

„Zagłoba
sum!“

Komu przeszkadza amatorska przeszłość tego widowiska? Nam nie. I nie o tą przeszłość chodzi. Uczyniono wszystko, by „Zagłoba“ odamatorszczył i odświeżycowić, (przepraszeram wszystkich filologów za te wyrażenia). Przednia ekipa zajęła się tą kosmetyką — Janusz Kłosiński jako adaptator i reżyser, Henri Poulain jako scenograf i kostiumolog, Janina Mieczyska jako choreograf. Muzyka cparta jest na folklorze lub na piosenkach, które stały się już folklorem. Kompilacji i uzupełnień dokonał Tomasz Kieszewetter.

Kto, nie mając innych klepótów, oparłby się prymitywnemu czarowi sytuacji, kiedy ryccerze pancerni wzywają pannieńki szlacheczki do otwierania okienka? Ba, to moena rzecz, i człek odmładza się, w mig jest znów w wieku sien-

kiewiczowskim, czyli ma — dokładnie — lat trzynaście. Inna, ale jakościowo ta sama, melamorfoza widać odbywa się, kiedy jako Kuba pije do Jakuba, czym się wznosi na wyżyny zachowawości narodowej. Tajemnica ewentualnego powodzenia „Zagłoby“ — nie wykluczam zaistnienia i takiego zadziwiającego faktu — nie będzie tkwiła w konkretach scenicznych, lecz w kompleksach sienkiewiczowskich widzów, czyli w jej gotowości do przywdziania o siódmej piętnaście żupana, kontusza i przypasania karabeli...

Myśle jednak, że ambicja realizatorów była inna. Ambicją było raczej kontynuowanie schillerowskiej szkoły „Śpiewowgr“, pokazanie rozróżnionego i rozpięwanego spektaklu z rodzaju „Krakowiaków i górali“, „Królowej przedmieścia“, „Kramu z piosenkami“. Nie udało się — według mnie, i nie mogło się udać, a to przede wszystkim z powodu braku „Lebensraumu“, przestrożeni życiowej. Zasadniczą sprzecznością spektaklu jest ta, która zachodzi między (immanentną) monumentalnością śpiewotancowiska a lilipucią sceną. Bracia, jak się tu roztańczę — w pudełku? O śpiewie lepiej nie mówmy.

Nazwać śpiewem to, co słyszemy, jest raczej aktem odwagi.

Jestem tchórzem.

TEATR 7.15

„Zagłoba — swatem“ (Śpiewowgr z piosenkami) Kazimierza Brodzińskiego. Jana Kochanowskiego, Sebastiana Klownowicza, Krzysztofa Opalińskiego, Szymona Szymonowicza, Szymona Zimorowicza oraz autorów nieznanych.



Wanda Chwiałkowska (Zosia), Stanisław Owoc (Cyprian)

„DZIŚ W NOCY UMRZE MIASTO“

(Korespondencja własna „Mieszanki“ z Drezna)



Bohater filmu „Dziś w nocy umrze miasto“ — Piotr — Andrzej Łapicki.

go wystąpią w filmie również D. Szafarska, U. Modrzyńska, B. Tyszkiewicz, J. Gogolewski, S. Miński i inni.

„Drezno — październik 1960 r. Ekipa polskich filmowców po 4-tygodniowej pracy kończy zdjęcia plenerowe. Zrealizowano już sceny na ulicach i placach Drezna. Między innymi sfilmowano sceny na gruzowisku Frauen Kirche — które było jednym z najpiękniejszych zabytków architektonicznych baroku. Jedną ze scen filmu dzieje się na tzw. „Ulicy z freskiem“ przedstawiającym pochód książąt saskońskich. Reż. Jan Rybkowski — naoczny świadek owego słynnego nalotu na Drezno stara się o zachowanie autentyzmu nie tylko scenerii ale i stroju tamtych chwil. Wyobraźmy więc sobie noc, pod-

...Luty 1945 r. Niemcy. Drezno. Po ulicach pięknego starego miasta błąka się człowiek o niecodziennym wyglądzie. Ma krótkie „na jeza“ przyszyte włosy, dziwną brezentową kurtkę i oczy zmęczonego, głodnego człowieka. Aż dziwne, że mało kto zwraca na niego uwagę, że patrol żandarmerii niemieckiej obojętnie przechodzi mimo niego. Ale, przypominamy, jest rok 1945, miesiąc luty. Niemcy już na własnej skórze odczuwają skutki rozpętanej przez siebie wojny, która dotarła do ich miast i miasteczek. Na placach i ulicach Drezna znajdują się tłumy uciekinierów. Chłopskie wozy z dobytkiem, dzieci jedzące na ulicy, starcy o zmęczonych i przerażonych twarzach. Temu wszystkiemu przygląda się nasz dziwny przechodzień. Jest to Polak, któremu udało się uciec z transportu. Zyczliwy kolega obozowy, Niemiec, podał mu kilka adresów. — Lecz one okazały się „spalone“. Dlatego człowiek ów błąka się teraz po ulicach miasta...

Tak mniej więcej zaczynać się będzie nowy film reżysera Jana Rybkowskiego zatytułowany „Dziś w nocy umrze miasto“. Treścią

filmu stały się losy Polaka, który był świadkiem śmierci Drezna podczas słynnego bombardowania w dniu 13 lutego 1945 roku. Piotr — tak bowiem nazywa się bohater filmu — przeżywa w ciągu jednej doby oarazo wiele. Od uczucia satysfakcji, że nareszcie Niemców spotyka kara za rozpętaną przez nich pożogę wojenną, aż do przerażenia, litości, a nawet miłości. Film ma mieć wymowę antywojenną, humanitarną. Postać Piotra odgrywa znany aktor Andrzej Łapicki. Obok nie-



Scena na „Ulicy z freskiem“, Zośka — Urszula Modrzyńska, Garton — Roman Wilhelm.

czas której umiera wielkie miasto. Setki albanckich samolotów zapalają nad Dreznem słynne „chojńki świetlne“, aby później zasypać aomy i ulice tysiącami bomb.

Wśród walących się ścian, w morzu ognia biegną oszalali ludzie — ileż trudu wymagało odtworzenie owych sytuacji! Przy filmie pracuje cały sztab inżynierów polskich i niemieckich (film realizowany jest przy współpracy DEFY). W kikuty zrujnowanych domów wstawiono futryny, które następnie oblewano specjalną masą łatwopalną, a później podpalano. Praca przy tych scenach była nie tylko trudna, ale i niebezpieczna.

Obecnie polska ekipa filmowa powraca do Polski, aby tutaj dokonać zdjęć atelierowych.

HELENA NOWICKA
Drezno w październiku 1960



Tatiana Sandojlowa w filmie „Niewysłany list“

„WALET PIKOWY“



„Walec pikowy“ jest wielkim nieporozumieniem. Ludzie lubią bawić się w kinie, ale nie chcą być zmuszani do tego siłą przez zwykłe, prostackie lechtanie. Ta żalosna w swojej nudzie komedia, mimo widocznych wysiłków reżysera i aktorów niestety chyba nikogo nie rozśmieszy. Trudno się śmiać, gdy nie ma powodu, gdy komedia nie zawiera ani jednego dobrego pomysłu sytuacyjnego (gagu), ani jednego dowcipu słownego. Echa pierwszej komedii reżysera Tadeusza Chmielewskiego („Ewa chce spać“), czy też próba naśladowania Chaplina nie ratuje tego bardzo słabego filmu.

„NĘDZNICY“

Najnowsza adaptacja „Nędzników“ jest chyba najsłabszą. Nic nie pomógł reżyserowi Jean Paul le Chanois, kolor i cinemascopowe zdjęcia. Na nie zdążył się wysiłek obsady aktorskiej tej klasy co: Jean Gabin, Danielle Delorme i Bernard Blier. Starsi z widzów są w lepszym położeniu, widzieli bowiem już lepiej zrealizowane adaptacje „Nędzników“: Raymonda Bernarda z roku 1934 oraz amerykańskiego reżysera Darryla Francisca Zanucka (1935). Obecna wersja produkcji francusko-NRDowskiej jest typowa, barwną ilustracją powieści Victora Hugo, pozbawioną zupełnie nerwu dramatycznego i sensownej filmowej narracji.

A. NIEŚMIAŁEK



CO UJRZYMY na przeglądzie filmów radzieckich

„NIEWYSLANY LIST“ — to dzieło jednego z najbardziej talentowanych i ciekawych twórców, autora filmu „Lecą żurawie“ reż. Michała Kałatozowa. Jego ostatni film wzbudził w Związku Radzieckim wiele dyskusji. Fabułę „Niewysłanego listu“ stanowią losy grupy geologów w bezludnej tajdze podczas okrutnej syberyjskiej zimy. Główną rolę kobiecą gra uroczą i bardzo popularna Tatiana Sandojlowa. Autorem świetnych ekspresyjnych zdjęć jest Sergiusz Urusiewski.

„SZUKAM OJCA“ — barwny film reżysera L. Golorowa pod względem ilości przyznanych nagród można nazwać „rekordzistą“ i tak na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mar del Plata (Argentyna) uzyskał specjalną nagrodę za kreację aktorską odtwórczyni małej Leny — Ani Kamienkowej. Na Festiwalu Republik Nadbałtyckich i Białorusi film ten otrzymał kolejne nagrody: za reżysериę, za najlepszy scenariusz,

za najlepsze nagranie dźwięku, za ilustrację muzyczną. Akcja filmu toczy się w czasie okupacji na Białorusi, treścią jest dramat małej dziewczynki, córki partyzanta radzieckiego, którego śledzą hitlerowcy.

„ZORANY UGÓR“ — adaptacja znakomitej powieści M. Szolochowa dokonana przez reż. A. Iwanowa. Powstał ciekawy, barwny, dwuseryjny dramat socjologiczny.

„SIEROŻA“ — jest debiutem reżyserskim Danijela i Talantina. Film ten reprezentował kinematografię radziecką na festiwalu w Karlowych Warach i zdobył tam najwyższą nagrodę — Grand Prix. Treścią tego dobrze zrealizowanego, a jeszcze lepiej zagrane dramatu obyczajowego jest codzienne życie widziane oczyma dziecka. Wymienić trzeba: Borię Barchatowa w roli tytułowej oraz jego dorosłych i znanych partnerów: Irenę Skobcewą i Sergiusza Bondarczuka.

„KOMANDORZY“ — to barwny, szerokoekranowy dramat psychologiczny, którego akcja rozgrywa się na przetrzeźnionych kilkunastu lat przed Rewolucją Październikową i po niej w środowisku marynarzy floty czarnomorskiej.

„SWIATŁO PAŹDZIERNIKA“ — jest ciekawym dokumentem o Wielkiej Rewolucji Październikowej i jej wpływie na dalszy bieg historii wielu narodów i państw. Wykorzystano tu wiele nieznanych filmowych zdjęć archiwalnych. Dodać należy, że film ten realizowano przy współpracy dokumentalistów z krajów socjalistycznych.

PRZEGLĄD FILMÓW RADZIECKICH trwać będzie w L dzi w dniach 4—18 listopada. Obejmie on nie tylko wspomniane już filmy, ale również wznowienia filmów starych oraz filmów klasycznych takich dzieł jak: „CZAPAJEW“, „PANCERNIK POTIOMKIN“, „ALEKSANDER NEWSKI“ (zobaczmy je w kinie Studyjnym).

A. N.